CENA 15 ZŁ

CZYTELNIK

Odra
tygodnik

WROCŁAW — KATOWICE

NUMER 50 (107) KATOWICE — WROCŁAW — SZCZECIN — OLSZTYN, DNIA 14 GRUDNIA 1947 ROKU ROK III



Rys. J. Wyrożemski

ZBYSZKO BEDNORZ

Dzieci i bagaże



Rys. J. Wyrożemski

Od tego czasu*) na placyku przed dużym gmachem dworcowym w gromadzie dzieci można było widzieć i Hyjdlę. Gdy przed kilku tygodniami przyjechała tu po raz pierwszy, spotkała się z szturchańcami, śmiechem i wyzwiskami. Wytrzymała to. Wytrzymała bolesne ciągnienie za włosy, czyli „zabawę w szubieniczkę“, jaką jej urządziła Halina. Do grupy dzieci repatrianckich, oprócz Haliny, należał jeszcze Wiesio, z gębą pucułowatą jak śliwka, piegowaty, wysoki jak tyczka w grochu Olek - gazeciarz i mała, ubrana w kubraczek wojskowy po bracie-partyzancie, pyskata okropnie Genia zwana „partyzantką“. Z tej całej grupy Halina cieszyła się największym autorytetem i ona to właśnie pierwsza nazwała Hyjdlę „wszawą giermanką“.

— Po coś tu przyjechała?

— Chca pora marek zarobić...

— Idź do Hitlera, zarobisz marki.

— Wiem, przełonacyłach sie, marki już nie gildujom.

— Wszawa giermanka.

— Hitlerka.

— Dobrze wam było.

— Teraz nie będziesz frygać pomarańczów i czekulady.

— Komuś ukradła ten wózek?

— Nie wiecie, to jest córka aku szerki — wtrącił się do rozmowy Olek.

— Co ona chce wozić, pinkle, w tej karocy?

Wózek Hyjdli wyglądał istotnie jak karoca. Był to staromodny wózek dziecięcy; na wysokich resorach, niby kosz, niby skrzynia, do której przyczepiono poręcz do pchania. Mogło to być kiedyś ozdobne i wygodne pomieszczenie dla chociażby nawet trojaczków. Właścicielka tej „karocy“, która pierwszy raz wówczas zetknęła się z tym obcym, groźnym światem, poczuła się wśród gromady pewnych siebie, krzyczących dzieci tak samotnie, że wydawało się jej, iż stała się nagle sierotą... Oczy jej jak dwie zamglone szybki — świata przez nie nie widać. Płacz się wylewał w gardle i z powrotem wracał do piersi. Najboleśniejsze były szturchańce i ciągnienie za włosy.

Szły dnie. Hyjdlę poczęto jakoś znosić, a i Hyjdla stawała się śmielsza. Epitet „wszawa giermanka“ wszedł w powszechne użycie, chociaż Genia-partyzantka wymyśliła jeszcze coś innego: „Hyjdla-myjdla“. Dziewczyna do tego przywykła. Mamie przynosiła więcej, niż ongiś z fechtunku. Raz odwiozła komuś jakieś pozawijane sznurami obrazy i lustra do tramwaju, kiedy indziej, już w drodze powrotnej, przy wyjeździe z miasta natknęła się na potężnie obładowaną kobietę, która wpakowawszy jej na wózek dwa ciężkie worki, kazała sobie wieźć ten bagaż przed dworzec; ale zapłaciła dobrze. Znowu innego dnia zawoziła jakiemuś milicjantowi worek kartofli na odległą ulicę. Nauczyła się rozróżniać ludzi dobrych i złych. W oczach siedzi prawda o ludziach. Umiała Hyjdla tak zaglądać w oczy dzieci i dorosłych, że nikt nie mógł jej oszukać mową; jeśli kto miał szorstkie słowa ale dobre oczy, wierzyła więcej temu, co mówiły oczy.

I tak było z Haliną: dwa razy już Halina zrobiła jej „szubieniczkę“, kilka razy wyszturchała po plecach; kpiła z Hyjdli, nazywała obraźliwie „wszawą giermanką“, ale mimo wszystko, nie miała złych oczu. Dziwna to była dziewczyna z onej Haliny.

Już wiosną 1945 roku przyjechała z transportem z Przemyśla. Była sama na świecie. Całą rodzinę wystrzelali jej Ukraińcy w czasie nocnego napadu na wieś, w której mieszkała. Halinę ukrył dla świata, wysoko porośnięty chwastami i wyrośniętą kapustą, ogród warzywny, w którym się położyła, nie zauważona w zamieszaniu. Owa noc krwi, strzelania, palących się chat i stodół, zabrała jej wszystko co najbliższe. Była to brzydka, niska dziewczyna, o bardzo długim stanie i przykrótkich nogach. Włosy ciemne, rzadko kiedy przyczesane, obcięte bardzo krótko. Z dużej twarzy wyglądała zuchowatość, która mieściła się może najwięcej w odwiniętej górnej wardze; na tle szerokich ust, takich ust od ucha do ucha, wyrastała koronka zdrowych, silnych zębów. Nie wiecie czy szczerość ma barwę siwą? Halina miała w oczach barwę siwej szczerości.

*) Fragment powieści, która ukaże się nakładem Wydawnictwa Zachodniego.

Pewnego dnia siąpił od rana chłodny deszcz. Wózkarze, gazeciarze i łazęgi schowali się w przyległym do dworca, zburzonym domu; pod trzymającymi się, cudem jakimś, schodami mieściło się azylum. Siedziała tu także Hyjdla w kuckach i patrzyła na ulicę. Myśli się zastały. Wiecznie już tak siedzi. W nogi poszły niespodziewane fale ciepła. Potem taniec iskier w kolanach. Nagle, ot tak z nudów, pchnęła ją Genia w żołnierskim kubraku. Hyjdla całym ciężarem ciała zwaliła się pod nogi wysokiego jak tyczka Olka-gazeciarza. Olek się przewrócił, gazety wypadły mu z ręki. Teraz na wstającą z trudem — nogi miała zdrętwiałe — na Hyjdlę rzucił się Wiesio; pragnął pomścić upadek kolegi. Hyjdla — wyższa od niego i silniejsza odtrąciła go prędko i poczęła uciekać — dokuczały jej miliony iskier w kolanach. Dopadła swej „karocy“, ale już też znalazł się przy niej Wiesio.

— Czekaj, szwabicho, odbiorę ci wózek za karę.

— No, cofcie się, no!

W szarpaniu z dziewczyną pomógł Wiesiowi Błażej o fizjognomii myszy, właściciel małego wózka, który nie cierpiał swej konkurentki. Hyjdla kopała i machała na oślep lewą ręką, prawą silnie trzymając za dyszel. W tym Błażej złapał ją za nogę; Hyjdla podskoczyła dwa razy i przewróciła się na mokry bruk. Wiesio znajdował się już w „karocy“ i krzyczał:

— Hulaj bracie.

„Karoca“ skręcała już w boczną ulicę, gdy Hyjdla odjęła od zapłakanej twarzy rękaw. Wtedy też dojrzała gnającą za chłopcami Halinę. Halina biegła z otwartymi ustami, na swych krótkich, ale silnych i muskularnych nogach.

— Wyglondo jak krupniok — przemknęło Hyjdli, a potem:

— Łona mi go weźmie...

Halina nie posiadała swego wózka. Jej źrodłem zarobkowania był śpiew. Hyjdla zrezygnowana i cała trzęsąca się, podeszła z powrotem do bramy spalonego domu. Tu Olek zbierał jeszcze swoje gazety i kłócił się z Genią. Gazety były zbłocone. Olek nie wiedział kto zawinił temu, że on się przewrócił; myślał, że to zrobiła umyślnie „wszawa giermanka“. Ale skoro się tylko podniósł, odezwał się, na ogół nie biorący udziału w sprawach tej grupy Lodek:

— Jąże tknij, smarkatą — rzekł spokojnie, wskazując na Genię — ta giermanka niczemu nie winna jest. Powagi Lodka, który chodził w olbrzymiej marynarce, chyba po jakimś grubym niemieckim dyrektorze kopalni, zawsze zresztą wypchanej pudełkami papierosów. nie mógł zlekceważyć taki zwykły gazeciarz jak Olek. Lodek imponował tym, że miał dużo pieniędzy i często palił. Przy paleniu strzykał kącikiem ust conajmniej na odległość pięciu metrów.

Więc teraz Olek żądał od Geni pieniędzy za 25 „Dzienników“, które, powiada, są już nie do sprzedania.

— Dajesz baciaro?

— A odczep się ty!

— Żeby ja ci fasonu nad szyją nie zmienił!

W tym momencie Hyjdla podeszła do Olka:

— Ty...

— Co?

— Skuli mnie ześ sie łobalił, jo ci za te cajtungi zapłaca.

Olek był tak zaskoczony, że otworzył usta i chwilę patrzył to na Hyjdlę, to na Genię; wreszcie podciągnąwszy machinalnym ruchem spodnie, wziął z ziemi kupkę zabłoconych gazet — i kierował się do odejścia. Jeszcze stanął, zmierzył od stóp do głów Hyjdlę; tak ją badał przymrużonym okiem jak by jej nigdy przed tym nie widział. Dziewczyna czuła oblewający ją wstyd. Wstydziła się tego, że w ogóle przemówiła do Olka. Wstydziła się za swe chropawe i jakieś grube słowa. Już tyle razy odzywała się w niej żałość, że nie mówi tak jak inne dzieci. Wstydziła się jeszcze dlatego, że miała nieuczesane włosy, że tak brzydko na niej wisi ten zielony, wyciągnięty sweter, za duży na nią, z szerokimi rękawami, które podwijała stale, a które ciągle jej opadały (był to stary wypłowiały sweter od Ulki).

— Hy, pewno zgłupiałaś, cholewa!

To było wszystko, co mógł gazeciarz powiedzieć o Hyjdli.

Deszcz przestał padać i dawno już w sieni zburzonego domu nie było prócz niej nikogo. Nie wiedziała co z sobą począć. Gdzie iść, by odzyskać swoją „karocę“. Poczęła płakać, ale nie był ci to płacz zwyczajny, tylko jakiś wewnętrzny; łzy gromadziły się w piersiach, czasem tylko zapiekło coś na twarzy. Cóż to się stało na tym świecie? Takie jest wszystko przeinaczone. Sama sobie wydawała się „cudza“.

— Jest-żech to jo? — zadawała sobie pytanie.

Jak do tego doszło, że dziś stoi samiuteńka w ruinach dużego miasta i płacze. Że ci nowi tu przyszli, a tacy są jacyś dziwni; śmiali. A tamci, niemce, kaj to polecieli, czamu sie boli łostać? Kiedy ci nowi se pońdom furt, coby zaś było spokojnie, zwyczajnie? Ach, żeby to wrócił już ojciec z onej wojny. Już dawno tak nie tęskniła za ojcem jak w tej chwili. Ach, gdy on wróci, to się dopiero wszystko ułoży! Zresztą i mama na niego czeko, a już najwięcej mówi o nim starzik. Aleć — Jezusie, ojciec był też Niemcem, mioł gwer, toć pewnie nie może tu wrócić. Maryjko, Maryjko święto, jako tyż to bydzie dalej.

... te synki porwali mi wózyk...

Dziewczynka starała się wbić w rozważania rzeczywistość chwili.

Ktoś prędko do niej podbiegł z tyłu i zasłonił dłońmi oczy.

— Puść mie, wto to je?

Halina silniej przycisnęła do siebie głowę Hyjdli.

— Powiedz jak si nazywasz po nazwisku a cie puszczę.

— Halina, to ty...

— Powiedz to cie puszczę, no —

— Po jakiemu?*)

— Ta po polsku, rozumie się.

— Niy, na co?

— Zwrócę ci wózek, no.

— Wróbel.

— Lubię wróble, słuchaj giermanka, chcesz zarobić?

Halina zachowywała się bardzo przyjaźnie. Opowiedziała w zadyszeniu, jak odebrała chłopakom wózek, a potem, jak to jadąc ulicą Zwycięstwa, była świadkiem katastrofy samochodowej; jakaś napełniona węglem ciężarówka, wyjechawszy niespodziewanie z bocznej ulicy, zderzyła się z autobusem; autobus stoi tam teraz zepsuty, kilku pasażerów jest tylko lekko rannych.

— Jedno państwo, które wyszło z autobusu, o rany, z takim bagażem, że ojoj, świat si kończy, nakłada teraz na twoje karoce walizy i tłomoki, a ja przybiegła po ciebie. Oni — te państwo — czekają jak raz na ciebie, ino powiedzieli, żeby na jednej nodze przylecieć. Ta fruwaj — wróbelku, nie, czekaj, zaprowadzę cię, może tamoj gdzie pośpiewam „mątekasyno“.

Hyjdla myślała: wierzyć czy nie wierzyć? Cóż to z tą Haliną? Zawsze starała się jej dokuczać, a dziś pomaga. I mówi do niej jak do koleżanki. Myślała: kiedy ja się dowiem co to jest „mątekasyno“; Halina ma pod oczami całe zagony piegów, Halina ma w podniesionej wardze przyjaźń. — Możno łona je dobro, ta Polka.

— Jedź symnom, Halina mnie bydzie...

Chciała rzec, że jej będzie lepiej, że się będzie z tego cieszyć, szukała słowa.

*) „Po jakiemu“ znaczy w gwarze śląskiej tyle co „dlaczego“.

— Dobra, boisz się, że ci będzie za ciężko, czemu nie, pomogę. Lećmy...

Zostały przyjaciółkami.

Stało się to raczej niespodziewanie. Hyjdla sama nie wiedziała kiedy i jak. Halina jeździ już od kilku dni wspólnie z Hyjdlą. Wspólnie zarabiają. Gdy Hyjdla pilnuje „karocy“ przed dworcem, Halina „organizuje“ na peronach gości. Gdy Halina jest przy wózku, Hyjdla jest na peronie i woła dosyć piskliwie:

— Komu swiyść bagaży — komu swiyść bagaży — komu...

Polubiły się i poznały. Oczywiście Halina nie zaprzestała śpiewu.

Zbliżał się szary, pełny dymów i mgły wieczór śląskiego miasta przemysłowego. Czas był chłodny, jesienny. Pierwszy powojenny październik kończył się smętkiem, zachodził w troskach. Widział ludzi co dopiero urządzających się, ludzi cierpiących tęsknotę, niepewność, opuszczenie, ludzi głodujących, przerażonych, w sytuacjach nowych i nieułożonych. Jakże tych ludzi porzucić w śniegiem i deszczem chlapiący listopad? Zapadał szary wieczór.

Oto w rozgałęzieniach torów rozległego dworca towarowego ustawiają się pociągi-transporty, z których wylewają się kobiety w chustach, kołyski drewniane, wozy, chłopaczyska umorusane smarami wagonów, mężczyźni w kurtkach i kożuszkach, kozy, krowy. Wielki przypływ historii wyrzuca na brzeg „nowej ziemi“ coraz to dalsze fale pielgrzymów, którzy już jutro mają się stać jej krwią i jej kością, połączyć się mają z tymi, co tu od wieków trwają i siedzą i świadczą o swym życiu dla Nowej Polski.

Dla tamtych dzisiaj tu jeno brzeg nowej ziemi, tu chłód i nieprzystępność, tu namiastka życia, tu żałość jakiejś przeogromnej, niezasłużonej pokuty. Dla tych — tu najświętsza swojszczyzna, tu prastary ląd; czegóż-że ci nowi chcą, po co ich zwożą pociągi?

Jednym i drugim szarpią się w piersiach serca i bolą myślami skronie. Ci ciągną na wsie i zajmują gospodarstwa, ogołocone z wszystkiego, tamci w postrzelanych piętrach wysokich kamienic miejskich zabijają okna dyktą, ci pchają wózki z kartoflami, których nie wystarczy, tamci do pustych piwnic wysypują uzbierane przed bramami już czynnych kopalń wiadra węgli. Powietrzem płyną przekleństwa niecierpliwych i krzyki dzieci. I skamlenia żebrzących, od których nie uciec i nie odegnać się. Żebrzą starzy, żebrzą najmłodsi, żebrzą dziewczynki o przejrzystych, papierowych twarzach. Gdzieś, przed sklepem trwa bitwa o kapustę, którą zwaliła duża ciężarówka...

Hyjdla jest dziś na peronie, a Halina pilnuje wózka. Na drugi peron zajedzie niedługo pociąg z Warszawy. Już wie dokładnie o wszystkich przyjazdach i odjazdach. Zna także niektórych kolejarzy i noszących karabiny strażników kolejowych. Jeden strażnik bardzo jej nie lubi; zawsze na nią krzyczy i przegania ją. Ma straszne jakieś oczy; raz szklą się biało, raz są wilgotne i czerwone. Na szerokiej twarzy nie gości nigdy uśmiech, wykrzywia ją raczej grymas wiecznego niezadowolenia. Hyjdla się go boi i nazywa go „złe oczy“.

Na peronie jest także Genia-partyzantka, która od czasu owego incydentu w bramie nie znosi jeszcze bardziej „wszawej giermanki“, jednak dokucza jej wtedy tylko, kiedy nie ma w pobliżu „cioty“ to znaczy Haliny. Wiele rzeczy się zmieniło w stosunkach dworcowej gromady. Genia na przykład sprzedaje od pewnego czasu papierosy, oczywiście Lodek gwiżdże na taką idiotyczną konkurencję, lekceważy Genię i jej żołnierski kubrak i jej „hele“, „partyzanty“ i „swojaki“. W magazynach jego marynarki znajdują się przeróżne asortymenty papierosów zagranicznych, a zwłaszcza „chesterfieldy“, „rumuny“ i „amerykany“.

Autorytet Haliny sprawił to, że bladą, wysoką i spokojną Hyjdlą przestano się na ogół zajmować. Hyjdla stara się też nie wchodzić nikomu w drogę. I kto wie, jak długo toczyło by się to spokojne życie, gdyby niespodziewany wypadek.

O tym wypadku dowiedziała się Halina grubo za późno. Stała właśnie przy karocy i kończyła swoje popisowe „mątekasoyno“. Wokół niej utworzył się krąg słuchaczy. Halina przy wyższych tonach śmiesznie podrzucała, zawsze rozkosmaną głowę; śpiewała z wysiłkiem, gardłowo. W tym wszystkim jednak wyraz jej ust był pogodny, a gdzieś między wargami, gdzieś w zagięciu twarzy, gdzieś w okolicy zębów i bladoróżowych dziąseł siedział promyczek uśmiechu. „...a po tych makach szedł żołnierz i ginął...“; dziewczyna mrużyła oczy i głos jej się łamał w wzruszeniu... O, nie — Halina nie śpiewała tylko dla zarobku. Któż to zrozumie z jej słuchaczy, kto przejrzy na wylot to samotne od wielu lat serce dziewczęce! Tyle było maków w jej stronach i tyle było krwi. Nie umiała by nikomu powiedzieć o tych skojarzeniach. Musiałaby się wrócić w tamto życie, które teraz jest dla niej jakby snem.

Tatuś był młynarzem; mieli w czworoboku lasów, na końcu wsi duże pole i łąkę, tam się chodziło wypasać krowy; śpiewy, zabawy, gonitwy. Odbywało się wesele Bronisławy — zbierała kwiaty wśród zbóż... O Jezu, nagle z wysokiego żyta — jęk. Żołnierz polski w pokrwawionym mundurze! Uszedł z 'potyczki partyzanckiej...

O, Haliny nie rozumieją ci przygodni słuchacze. Halina jest beztroską pieśniarką dworcową w wielkim mieście śląskim. Co dzień śpiewa tak samo, co dzień nudzi tymi samymi piosenkami. To jej zawód...

— Te, Halina przestań si drzeć, słuchaj, twoją giermankę milicjanty przytrzymali...

Olek-gazeciarz wepchnął się w gromadę gapiów i słuchaczy. Mimo, że z Hyjdlą nie żył w koleżeństwie, żal mu jej było. Już dawno nie żywił żadnej urazy do tej bladej, zawsze skłonnej do ustępstw, dziewczyny. Sam nie był świadkiem tego co zaszło na peronie, ale dowiedział się od Lolka. Przybiegł z tym do Haliny.

Przestała śpiewać. Prędko weszła w krąg słuchaczy i poczęła zbierać datki. Wielu ludzi od razu się rozeszło, uchylając się od tej nieprzyjemności; ci i owi dawali jednak, głównie jedno i dwuzłotówki. Zebrała dziś stosunkowo dużo, czuła to po wypchanej kieszeni, którą sobie specjalnie do tego celu naszyła na grubą spódniczkę, zrobioną z szarego koca.

Krzyknąwszy na Olka, żeby na nią zaczekał, odprowadziła „karocę“ na drugi koniec placu, gdzie było miejsce postoju dla wszystkich wózków.

Był tu tylko Błażej z „mysią twarzą“.

— Pilnuj karocy, zaraz wrócę, wiesz, Olek powiada, że naszą giermankę wzięli do mamra.

— Coś ty, za co?

— Nie wiem, pilnuj karocy.

— Któż-że się złakomi na taki pojazd akuszerski — powiedział pogardliwie Błażej.

Halina była przejęta do głębi. Od 'Olka nie wiele mogła się dowiedzieć. Lodka trudno było złapać.

Fala ludzka z przybyłego pociągu już dawno się przewaliła, a Hyjdli rzeczywiście jak nie widać tak nie widać. Cóż się mogło stać? Halina przebiegła przez zaporę kontrolną. Znajomy kolejarz krzyknął na nią, że się spóźniła, bowiem na peronie już pusto. No tak, coś musiało być istotnie nie w porządku; peron był opustoszały. Zbliżyła się do wózków pocztowych, na które dwóch ludzi ładowało przerzucane w nieładzie paczki, walizy, worki.

— Czy panowie nie wiecie, co si tu stało z moją koleżanką?

W wieczornym zmroku nie poznali kto pyta; dopiero później zorientowali się, że to popularna „pieśniarka dworcowa“.

— Z tą wiecie, giermanką, taka wysoka, cicha dziewczyna, ta co odwoziła bagaże ludziom...

Wiemy tylko, że była jakaś awantura, jakieś zamieszanie. Ktoś komuś coś ukradł, coś komuś zginęło, ale nie może to mieć chyba związku z Hyjdlą.

Zawiadowca stacji ofuknął Halinę i kazał jej się natychmiast wynosić z peronu. Udała, że wychodzi. Raptem skoczyła jeszcze do biura straży kolejowej. Zapukała...

— Jej mamusia jesteś czy jak?

Strażnik nie wiele chciał z nią gadać... Hyjdlę odesłano na komendę, jest posądzona o kradzież...

Zbyszko Bednorz.

ILJA ERENBURG

Dzieci

Niemcy wspominali jak byli dzieckiem
Letni deszcz im łzy na oczy wycisnął
I żartował feldwebel po niemiecku
Że dzieci dużo pod kapustą piszczy.
A potem stanęli Niemcy gdzie brzeg leśny
Stanęły dzieci nad jamą wilczą.
Tylko dziewczynka spytała się: „Gdzie jesteśmy?“
A Niemiec spojrzał na nią i milczał.
Dziewczynka lalkę do piersi tuliła
— To było wszystko co w życiu miała.
A feldwebel milcząc podniósł rękę,
I opuścił ją, i lalka krzyknęła.
Przeliczyli — było ich siedemnaścioro
I milczały, jak starzy, dzieci.
Niemiec krzyknął: Do domu pora.
Chłopiec milczał, tylko okiem świecił.
Zasypano jamę. Szczebiotami ptasząt
Wzruszało serce. Liście szeleściły.
Las pachniał. I wzdychał feldwebel
Że listy dawno już nie przychodziły.
Słuchaj serce, jeśli ty zapomnieć możesz
Jeśli przebaczysz, lepiej ci umilknąć!
Tylko bombą na nich, tylko armatą,
Tylko celną gwardzisty kulką!

Z rosyjskiego spolszczył
Jarosław Iwaszkiewicz

PAWŁO TYCZYNA

Koło cerkwi

Koło cerkwi, na polanie
kipi rewolucja.
Niech nam pastuch atamani,
hukną, co sił w płucach.

No żegnajcie, poczekajcie,
my na konia, z bitwy, —
zakipiało, zaszumiało —
chorągwie zakwitły.

Koło cerkwi, na polanie
płyną matek smutki:
oświeć że im chociaż drogę
księżycze bialutki.

Koło cerkwi pył opada
słabnie dźwięków moc.
Wieczór.
Noc.

Z ukraińskiego spolszczył
Aleksander Baumgardten.

Nowa sztuka Kazimierza Gołby



Teatr Polski w Bielsku i Cieszynie wystawił komedię historyczną Kazimierza Gołby pt. „Dziki Książę“. Prapremiera odbyła się w Bielsku w dniu 18 listopada 1947.

WOJCIECH BĄK

Nie ma Moliera

Kiedy w pierwszej połowie XVII w. wysoce wówczas ceniony poeta Vincenty Voiture ogłosił swój sonet „Piękna, co wstała wcześnie", cały elegancki Paryż zawrzał entuzjazmem. Urocze i wyrafinowane damy oraz wykwintni, pedantyczni krytycy wypowiedzieli zdanie, że utworu równie poetyckiego, subtelnego i piękniej skomplikowanego nie miała literatura francuska, a i w światowej literaturze trudno by było znaleźć drugi wiersz tak mistrzowski. Wszystko co dotychczas w poezji było, jest brutalne, prozaiczne, niedołężne w zestawieniu z arcydziełem Voiture'a. Mały ten poemacik, tak twierdzono, przewyższa pod względem poetyckim Homera, Pindara, nie mówiąc już o Ronsardzie i innych poetach Plejady. Kwintesencja poezji jest w nim zawarta, poezji prawdziwie nowoczesnej, dalekiej od barbarzyństwa zamierzchłych, prymitywnych epok. Nie ma w poemacie tym jednego wiersza, który by nie zachwycał, nie porywał, nie wstrząsał. Nie ma zresztą dostatecznej siły słowa, żeby opisać cudowne działanie tego sonetu. Wiersza uczono się na pamięć, smakowano każdą linijkę, każdą sylabę, każdą głoskę.

Nie od rzeczy będzie przytoczenie tego „arcydzieła". Brzmi ono w znakomitym przekładzie Leopolda Staffa następująco:

Z bram poranka kochanka urocza Cefala
Róży swemi powietrzne zasiewała ścieże.
I rzucała pociski — w niebo nowe, świeże —
Strzał modrozłotych, które rodząc się zapala:

Gdy nimfa boska błysła memu snowi zdala,
Jaśniejąc urokami swemi w takiej mierze,
Iż, rzekłbyś, sama świata rozświeca bezbrzeże,
I brzeg wschodu napełnia jej ogniowa fala.

Słońce, śpiesząc, pochodnią swą, dla niebios chwały,
Przeciwstawiło ócz jej światłości wspaniałej,
Wziąwszy promienie, w których lśni Olimpu gniazdo.

Fala, ziemia, powietrze zajaśniały skore,
Lecz przy Filidzie wzięto słońce za Aurorę
I myślano, że Filis była dzienną gwiazdą.

Najwięksi krytycy podkreślali niezwykłą subtelność uczucia, unikającą wszelkiego bezpośredniego wyrazu, jakże prymitywnego i barbarzyńskiego. Jest to szczyt poetyckiej pośredniości, szczyt dyskrecji w wyrażeniu uczucia nad wyraz delikatnego: mianowicie nowoczesnego zachwytu miłosnego — twierdzono. Podkreślano odkrywczość metafor, umiejętność omówienia poetyckiego, która pozwoliła autorowi uniknąć najdrobniejszego prozaizmu. Z naciskiem zwracano uwagę na genialne wprost personifikacje, na przełomowe wręcz, a jakże dogłębnie poetyckie ożywienie zjawisk przyrody. To „słońce", które „spiesząc pochodnią swą, dla niebios chwały, przeciwstawiło ócz jej światłości wspaniałej. Wziąwszy promienie, w których lśni Olimpu gniazdo" — doprowadzało urocze panie do omdlenia, a pedantycznych krytyków do bełkotu zachwytu. Rozważali każde słowo z osobna, porównywali, ważyli — i stwierdzali, że nie można najmniejszej sylaby zmienić bez zniszczenia nieprawdopodobnego czaru całego utworu. Każda linijka jest — jest — tak mówiono — zbiorem arcydzieł, każde słowo perłą kosztowną — a całość jest drogocenną kolią, której równej dzieje ludzkości nie znały. Zakończenie zaś sonetu, w którym autor przedstawił pomieszanie pojęć, stwierdzając, że Filidę wzięto, „za dzienną gwiazdę", „słońce zaś za Aurorę", było wielkim, najpiękniejszym diamentem w tej kolii. Tutaj wyobraźnia poetycka — tak mówiono — zapanowała niepodzielnie. Wyzwoliła się od wszelkiego prozaicznego kontaktu i uniosła myśl i uczucie w regiony czystej sztuki, nieskalanego artyzmu.

Oliwy do zachwytu dolał inny poeta Claude de Malleville, który na ten sam temat i pod tym samym tytułem napisał równie „piękny" i „poetyczny" sonet. Chcąc zaoszczędzić czytelnikowi niepotrzebnej nudy, przytoczę tylko zakończenie sonetu:

O, święta dnia pochodnio, nie chowaj zazdrości,
Bo wydałaś się wówczas przy niej czemś tak małem,
Jak przedtem ognie nocy przy twojej światłości.

(tłum. L. Staff)

Nie było końca zestawieniom piękności obu sonetów. Tworzyły się nawet koterie zwolenników Voituré'a i de Malleville'a. Wyrafinowane damy i nie mniej wyrafinowani krytycy walczyli zawzięcie w obronie jednego lub drugiego autora. Kłócono się o metafory, o sylaby, o głoski, o znaki interpunkcji. Zestawiano, przeciwstawiano, porównywano, oceniano. Całe jednak towarzystwo eleganckie i uczone było zgodne, że oba wiersze są szczytami subtelności i wynalazczości. Nie można się było tylko pogodzić w ocenienie, który z obu szczytów jest wyższy. Potem, gdy poeta Isaac de Benserade ogłosił wiersz pt.: „Sonet o Hiobie", rozgorzała subtelna walka na nowo. Chodziło o to, czy Voiture czy Benserade jest subtelniejszym i więcej wyrafinowanym nowocześnie poetą. Porównywano jego sonet „o Hiobie" z sonetem Voiture'a pt. „Urania". Eleganckie towarzystwo podzieliło się na dwa obozy: „uranistów" i „hiobelinów". Walka była zacięta. Z arsenału uczonej pedanterii wyciągnięto wszelką broń. Zaczęła się bitwa o metafory, personifikacje, o większą zręczność, nowoczesność, odkrywczość w używaniu tych środków. Spór — jak można się domyśleć — był zażarty. Dzisiaj Voiturem i de Mallevillem i Benseradem interesują się wyłącznie znawcy dziwactw kulturalnych. Dla nich zaś niestety cały spór jest dość obojętny, gdyż nie cenią oni ani pierwszego, ani drugiego, ani trzeciego z wymienionych poetów.

Uważają ich za wyraz upadku prawdziwej poezji — oraz zepsucia smaku epoki. Czyżby mieli mieć rację?

Byli ludzie, którzy mieli grube wątpliwości już wtedy, czy zachwyt w owym czasie budząca sztuka jest w ogóle poezją. Byli oni jednak zahukani. Nie szli oni z prądem. Eleganckie towarzystwo, nie mówiąc już o „głębokich" krytykach — pomijało ich odezwanie milczeniem i pogardą, jaka się słusznie należy prymitywom, nie zdolnym do przeżywania uczuć delikatnych i skomplikowanych. Towarzystwo całe — prawdziwa śmietanka inteligencji — nie brała pod uwagę ich głosu.

Taki stan trwał do wystąpienia Moliera. Wicher śmiechu, który rozległ się z jego komedii, rozproszył eleganckie towarzystwo. Wystarczy przeczytać: „Uczone białogłowy", żeby zrozumieć nienawiść wyrafinowanego towarzystwa do niego. Dało ono się też w znaki wielkiemu pisarzowi. Wichru śmiechu nie można było jednak już powstrzymać. Ten wicher śmiechu zmiótł z powierzchni sztuczne igraszki pseudopoetyckie, pedantyczne a właściwie niedołężne analizy, nadęty balast subtelności, pod którą się właściwie kryła pustka gry w słowa. W słowa pozornie niezwykle uczone — a właściwie prostoduszne i naiwne. Tak przynajmniej wszyscy dziś zgodnie twierdzą.

Po co jednak pisać o tych dawnych, zapomnianych czasach? Kogóż dzisiaj interesuje lub w ogóle interesować może przebrzmiała sprawa jałowych sporów?

Jeśli piszę o tych sprawach, to czynię to dlatego, że lubię historię. Lubię ją nie tylko dlatego, że jest ciekawa, ale również i z tego powodu, że wydaje mi się, iże prawdą jest, że nic się dosłownie nie powtarza, ale nie mniejszą jest prawdą, że zasadnicze zagadnienia jednak się powtarzają.

Tak mi się wydaje, gdy przypatruję się dzisiejszej rzeczywistości literackiej. Może się mylę. Może w istocie stoimy w epoce nowej, nie mającej żadnego związku z przeszłością i jej problemami i jakiekolwiek porównanie jest szaleństwem. Nie mogę oczywiście przysięgać, że moje podejrzenia są w stu procentach pewne. Myślę tutaj o podejrzeniach i pokrewieństwie pewnych zagadnień dawnych z dzisiejszymi. Przedziwnie jaskrawe podobieństwo.

Pewne jest tylko jedno, że dotychczas Moliera nie mamy!

Wojciech Bąk

Na fali 19,43

W 45-tym numerze „Odrodzenia" K. I. Gałczyński pisał: „Bardzo się cieszę z przyjazdu kolegi Erenburga, ale chciałbym, żeby do Polski przyjechał również zwyczajny towarzysz Iwanow i żeby wybrał się na pół czarnej ze zwyczajnym obywatelem Kowalskim, a zwyczajna towarzyszka Iwanowa żeby sobie troche poplotkowała ze zwyczajną obywatelką Kowalską. Chcemy słyszeć więcej mowy rosyjskiej na ulicach Warszawy i więcej mowy polskiej na ulicach Moskwy.



Scena z filmu, którego tematem jest życie i twórczość kompozytora rosyjskiego, Glinki: Glinka (BORYS CZYRKOW), mając przed oczyma obrazy wyczarowane w poezji Puszkina — przystępuje do napisania opery „Rusłan i Ludmiła".

*

Jesteśmy bratnimi narodami i nie chodzi nam o reweranse dyplomatyczne, tylko o to co się nazywa uściskiem dłoni i serdecznym spojrzeniem w oczy.

Oby ten uścisk dłoni był bardzo mocny i żeby serdeczne spojrzenie w oczy miało dużo ciepła — powstało w Polsce Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej.

Przyjaźń dla każdego, rozsądnego i w tym wypadku uczuciowego obywatela nie może polegać na tym, że „my się z nimi przyjaźnimy a oni z nami nie", przypominało by to bowiem pensjonarkę zakochaną nieszczęśliwie w gwiazdorze filmowym. I chociaż niektórzy właśnie tak chcieliby mówić o tej przyjaźni, sytuacja wygląda zupełnie inaczej. Cechą charakterystyczną naszego stosunku jest wzajemność.

Min. Henryk Świątkowski, prezes Głównego Zarządu Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, w wywiadzie udzielonym z okazji miesiąca wymiany kulturalnej ze Związkiem Radzieckim, podał szereg interesujących faktów, które świadczą o żywym zainteresowaniu się społeczeństwa radzieckiego naszą kulturą.

Radio Moskwa nadaje w każdy piątek muzykę polską. Ostatnio poświęcono szereg audycji twórczości polskich kompozytorów. Szopena, Karłowicza, Szymanowskiego, Wieniawskiego, Paderewskiego, Moniuszki i in.). Zapraszano również do największych sal koncertowych Związku Radzieckiego naszych śpiewaków i kompozytorów: Bandrowską-Turską, Wiłkomirskiego, Eckera, Fitelberga. Rosyjskie zespoły chóralne włączyły w swój program polskie pieśni ludowe (Swiesznikow), kompozytor Iwannikow stworzył kilkanaście kompozycji opartych na naszych motywach ludowych — i skomponował do słów Iwaszkiewicza „Oratorium o Warszawie".

Teatry radzieckie wystawiają chętnie polskie sztuki, wielkim powodzeniem cieszyła się „Moralność pani Dulskiej". Wydane ostatnio tłumaczenia polskich sztuk wzbogacą na pewno repertuar teatrów radzieckich o Słowackiego, Wyspiańskiego, Bałuckiego, Fredrę, Zapolską, Iwaszkiewicza i Szaniawskiego. (Około osiemdziesiąt pozycji naszej literatury ukazało się ostatnio na wystawach radzieckich księgarń).

O tłumaczeniach poezji mówiliśmy w jednej z poprzednich „audycji", do nazwisk wymienionych dodamy jeszcze Konopnicką i Tuwima.

Tłumaczenie Placówki Prusa (i zapowiedziana „Lalka"), powieści Leona Kruczkowskiego, nowele Jarosława Iwaszkiewicza — reprezentują godnie naszą prozę. Obecnie niecierpliwie oczekują czytelnicy radzieccy na ukazanie się „Antologii Nowej Poezji Polskiej". W antologii znajdą się poezje Staffa, Tuwima, Broniewskiego, Jastruna, Przybosia, Ważyka, Pasternaka i innych.

Radziecki akademik Piczeta, wybitny historyk, o którego śmierci doniosła ostatnio nasza prasa, pracował nad trzytomową historią Polski. W Instytucie Slawistyki Akademii Nauk ZSRR studiuje się historię Polski. Wybitny historyk sztuki, prof. Sidorow, opracowuje obszerną historię malarstwa polskiego. W przygotowaniu do druku znajdują się akta śledcze Tadeusza Kościuszki. Akademia Nauk Pedagogicznych zaprosiła do współpracy prof. Mysłakowskiego (obecnie Akademia zbiera materiały do wielkiej encyklopedii pedagogicznej).

Z tego wynika, że Związek Radziecki nie grzeszy bynajmniej brakiem objawów przyjaźni i zainteresowania się naszą kulturą. A przyjazdy najwybitniejszych pisarzy, muzyków, śpiewaków, zespołów tanecznych i chóralnych — świadczą o poważnym stosunku ludzi radzieckich do naszego widza, czytelnika i słuchacza. Nie zachwycamy się obecnym stanem bezkrytycznie, są jeszcze duże braki w uprzystępnianiu nam dzieł radzieckiej sztuki — tak jak istnieją podobne braki w uprzystępnianiu Związkowi Radzieckiemu polskiej kultury. W każdym razie wszystko jest na dobrej i szerokiej drodze. Korzyść z przyjaźni i wymiany będzie obopólna i może odegrać doniosłą rolę, przede wszystkim dla dalszego rozwoju kultury.

ANDRZEJ WYDRZYŃSKI.

Nagroda literacka Wrocławia

Miasta Wrocław ufundowało nagrodę literacką. Podobno ustanowiono jeszcze i nagrodę plastyczną oraz muzyczną. Ale okazało się, że dobre chęci nie wystarczą, że z nagrodą trzeba się także umieć obchodzić.

Bo oto powołano jury, które zabrało się do pracy. Ale komuś w Miejskiej Radzie Narodowej jury się nie podobało. Zażądano, by zasiadali w nim przedstawiciele partii polityczn. Stworzono więc drugie jury, w którym znalazł się tylko jeden przedstawiciel literatury. Rezultat był taki, że nagrodę literacką przemianowono na nagrodę **„kulturalną" (!)** i podzielono ją między Annę Kowalską, pisarkę osiadłą we Wrocławiu, założycielkę niezwykle czynnego i pożytecznego Towarzystwa Miłośników Literatury i Języka Polskiego, i Jerzego Waldena, dyrektora Państwowego Teatru Dolnośląskiego we Wrocławiu, poprzednio dyrektora teatru w Jeleniej Górze. Podział odbył się w ramach 75.000 zł. Kwota śmieszna a wielki wstyd. Wrocław mający u siebie kilku dobrych pisarzy, którzy jego tematyce poświęcają pióro i którzy aktywizują jego życie literackie (Kowalska, Mikulski, Żukrowski, Łoś) nie znalazł pisarza godnego kwoty 75.000 zł. Podobno na posiedzeniu jury padł projekt udzielenia nagrody Jerzemu Pytlakowskiemu. Na pewno nie postawił go człowiek mający cośkolwiek wspólnego z literaturą.

Ale jeśli już miała być to nagroda „kulturalna", to dlaczego nie pomyślano o niej dla któregoś z twórców uniwersytetu wrocławskiego, którzy w walce z ogniem i wojną uniwersytet ten, jedyny na Ziemiach Odzyskanych, organizowali?

Przykro nam, że pierwsza polska nagroda literacka Wrocławia zaczyna swój żywot tak niepięknie i gotuje sobie takie brzydkie tradycje. Tyle miast ma już nagrody artystyczne opracowane statutowo. Czyż to tak trudno wziąć gotowy wzór i uniknąć kompromitacji miasta, które coraz silniej wrasta w sentyment społeczeństwa? **(ki)**

Zjazd literatów

Dyskusja

Najłatwiej było by podać plotki i dykteryjki zjazdowe. W anegdocie zmieścić można wiele treści, ale anegdota nie zawsze ujmuje prawdę. Tymczasem w czasie trzydniowych obrad literatów polskich chodziło właśnie o znalezienie prawdy dla wielu spraw i zjawisk. Wypunktowanie prawdy o losie materialnym pisarza w powojennym świecie polskim, nie natrafiło na trudności. Sytuację literata gospodarczą, społeczną, to znaczy jego pozycję, a raczej brak pozycji w społeczeństwie, charakteryzowali zarówno pisarze lewicy jak i inni pisarze.

Ale trudniej było ustalić prawdy ideologiczne. W klimacie zgody, panującej na Zjeździe umiano się przecież **szlachetnie różnić**. O tym marzył Norwid. Niech już teraz tak będzie zawsze u nas.

O KONCEPCJĘ LOSU LUDZKIEGO

Pisarz jest nie tylko odkrywcą świata, to znaczy nie spełnia poprzez swe dzieło tylko funkcji poznawczych, ale **tworzy** światy; nie obojętne tedy w co wierzy i w imię czego tworzy. Dyskutowaliśmy na te tematy długo i gorąco. **Stefan Żółkiewski** postawił m. in. problem losu ludzkiego, w stosunku do którego pisarz musi zająć postawę sprawczą. Biologiczna, ahistoryczna koncepcja losu ludzkiego winna być zastąpiona przez koncepcję — powiada — jedynie słuszną, historyczną; ważność i wartość człowieka jawi mu się tylko na tle socjologicznych i gospodarczych uwarunkowań. Teza Żółkiewskiego w tym wypadku jest skrajna — zauważył **Promiński,** stający w obronie indywiduum ludzkiego. Człowiek posiada pewien procent tego czegoś własnego, co go wyróżnia od innych. Gdy to „własne" dorzucamy do ogólnego — tworzymy prawdziwy postęp i tak powstaje kultura.



Pola Gojawiczyńska.

NIE MA HUMANIZMÓW FAŁSZYWYCH

Przemówienie **Jerzego Zawieyskiego** — wybitnego dramaturga i powieściopisarza — trzeba zaliczyć do kategorii mów wielkich i dostojnych. Więc mówił autor „Dnia sądu" o konieczności zachowania szacunku dla różnic światopoglądowych. Szanuje i ceni swych światopoglądowych przeciwników — marksistów — za ich gorące umiłowanie prawd, w które wierzą — ale żąda tego samego dla swego światopoglądu. Jeśli za Żółkiewskim stoją masy to i za mną stoją masy — rzuca w szlachetnym patosie. To stwarza konieczność proporcji w rzeczywistości. Świadomość tego może dopiero dać tło pod pełny obraz. Żółkiewski operuje pojęciem „los ludzki" — toć nie powinno się ono mieścić w pojęciu marksistowskim. Owszem, los ludzki jest uwarunkowany także socjologicznie, ekonomicznie, ale to jeszcze całkowicie nie determinuje tego pojęcia, które najpełniej mieści się w **chrześcijaństwie.** Żółkiewski starał się zgłębić istotę humanizmu; doszedł w swych wywodach do tego, że humanizm chrześcijański — nie nazwał go, ale nań wyraźnie wskazał — jest humanizmem fałszywym. Zawieyski udawadnia błędność takich rozróżnień i uzasadnia prawdę i realizm humanizmu chrześcijańskiego. To właśnie humanizm materialistyczny jest ... niepełny. Zawieyski, wykazując wysoką kulturę polemisty — nie nazywa humanizmu materialistycznego fałszywym. W rzeczy samej nie ma humanizmów fałszywych w ogóle, są zawsze **„jakieś"**, t. j. humanizmy określone przymiotnikiem niewartościującym.

Zawieyski zgadza się z tym, co mówił Żółkiewski w sprawach m. in. udziału nowych mas w życiu publicznym; to są te wielkie nasze wspólne radości — oświadcza Zawieyski. Niepotrzebnie się do nas stale apeluje, przemawia i przypomina nasze obowiązki — te apele są szlachetne, ale są nadużywane w stosunku do nas — pisarzy. Jesteśmy tych obowiązków świadomi, a w nowej Rzeczypospolitej stanęliśmy do pracy twórczej szczególnie na te zjawiska wyczuleni. To zagadnienie — by sztuka bez żadnych rezygnacji stała się własnością wszystkich warstw społecznych — realizujemy i będziemy to nadal czynić.

W czasie przemówienia Zawieyskiego czuło się wiew historii na sali — powiedział Aleksander Wat.

CZY PESYMIZM MOŻE BYĆ TWÓRCZY

Redaktor „Kuźnicy", którego referat stanowił zaczyn dyskusyjny, podzielił literaturę na pesymistyczną i optymistyczną. Z pesymizmem powiązał światopogląd dopuszczający pojęcie grzechu. Jeśli natura ludzka skażona jest grzechem i ciągle nowy grzech ją kazi — to pewnie walka człowieka o lepsze jutro i o szczęście jest beznadziejna? **Jan Dobraczyński** nie godzi się z takim ujęciem sprawy. W katolicyźmie jest miejsce nie tylko na pesymizm, który się wywodzi z grzechu, ze zła dostrzeganego przez katolicyzm, ale jest także z naszą religią powiązany twórczy optymizm, który polega na walce ze złem, obojętnie czy to jest zło, tkwiące w duszy pojedynczego człowieka, lub czy to jest zło socjalne.



Prezydium Zjazdu. Od lewej: Mieczysław Jastrun, Jarosław Iwaszkiewicz, Kazimierz Wyka i Stanisław Łoś

Tym samym problemem zajął się m. in. redaktor „Tygodnika Powszechnego" **Jerzy Turowicz**, którego wypowiedź nacechowana była precyzją rozumowania. Stanął m. in. w obronie pesymizmu w literaturze. Pesymizm, który trzeba przezwyciężać oczywiście, jest warunkiem zdrowego optymizmu. Poza tym literat ma prawo do własnego interpretowania widzianej i poznawanej rzeczywistości. Zaś obowiązkiem naszym — pisarzy — jest funkcję poznawczą pogłębiać. Jeśli się postuluje jakąś lepszą literaturę, literaturę optymizmu — trzeba ją tworzyć, a nie martwić się tym, że istnieje inna. Planowanie nie może się odbywać na płaszczyźnie ideologicznej.

Podziałowi na literaturę pesymizmu i optymizmu przeciwstawił się też **Aleksander Wat** — głęboki i wysoce kulturalny mówca. W ogóle pesymizm także może być czynnikiem siły. (Następuje kapitalna scena: Wat wyciąga tygodnik „Sport" i czyta zwierzenia pewnego boksera, który przed wejściem na ring zawsze czytuje Schopenhauera — filozofa pesymizmu — i ta lektura dodaje bokserowi sił). Znacznie lepiej mówić o literaturze zaangażowanej i niezaangażowanej w dziele współtworzenia nowej rzeczywistości. Ma rację Wat, bowiem literatura optymistyczna może być czasami literaturą istotnie zaangażowaną, ale zaangażowaną zupełnie źle i fałszywie.



Jerzy Andrzejewski.

Spór jaki się dziś tutaj toczy, to spór o generalia — powiedział w jakimś miejscu Wat — to walka Cesarstwa Rzymskiego z Rzymem.

Walka Cesarstwa z Rzymem chyba nie. Ale spór o generalia tak!

REALIZM I ŁŻE - REALIZM

Wśród wielu tematów dyskutowano też na temat realizmu. Chyba nam się to nigdy nie znudzi. Żółkiewski powiązał z realizmem postępowość i rewolucję społeczną, uważając ten kierunek literacki za najbardziej odpowiadający dzisiejszej epoce. Rozważania na ten temat podjęli niemal wszyscy wybitniejsi mówcy, przy czym — za **Kubackim** — nie godzili się na to wyniesienie realizmu do roli prądu sprzyjającego postępowi. Było by to mechaniczne ujmowanie zjawisk literackich. **Wyce** podobał się termin „łże-realizmu", jakiego użył Żółkiewski na określenie realizmu zakłamanego. Aby nie było dzieł „łże-realistycznych" — winniśmy — powiada Wyka — stale poszerzać naszą wiedzę o świecie. Realizm to ostatecznie pojęcie z dziedziny formy; realizm może się wcale nie przyczyniać do wzbogacenia treści. Dopiero wtedy będziemy mieć nowe treści i prawdziwy realizm, gdy do literatury wejdą nowi ludzie z nowych warstw społecznych i z nowym zapasem wiedzy o świecie. Oryginalnie rozważał zagadnienie realizmu w dzisiejszej literaturze **Kisielewski;** nie pora dziś na realizm, który może się rozwijać na podłożu pewnego osądu rzeczywistości („jest tak a tak"); dziś jest raczej miejsce na jakiś „idealistyczny realizm" („jak być powinno"). Hołuj dodaje, że ani Lenin ani ustrój socjalistyczny nie nakazali panowania i stosowania realizmu w literaturze, zostawiając pisarzom wybór własnych dróg.

„LITERACI PISZCIE O ZIEMIACH ODZYSKANYCH!"

Na gmachu Państwowego Teatru we Wrocławiu wisiał duży transparent „Literaci piszcie o Ziemiach Odzyskanych". Przypomnienie czy prośba? I jedno i drugie raczej nie potrzebne, skoro literaci zamanifestowali swój stosunek do Ziem Odzyskanych chociażby wyborem tego, a nie innego miejsca swego Zjazdu. Problemy kulturalne tych ziem omówił specjalny referat; dyskusji osobnej referat nie wywołał, ale przecież wszystko co się przewijało w obradach, wiązało się najściślej także z tymi ziemiami. Podkreślił to **Adam Polewka,** któremu te obrady polskiej literatury wśród wrocławskich ruin szczególnie wiele mówią o wielkości zadań i powołaniu pisarza. Znaczące były wnioski, domagające się między innymi pomocy przy osiedlaniu się literatów nad Odrą, oraz żądające różnych ułatwień, które by umożliwiały wykonanie pracy literackiej na tych ziemiach. O świadomości obowiązków polskiego pisarza w stosunku do Ziem Odzyskanych najlepiej świadczy entuzjastycznie powzięta rezolucja:

„Walny Zjazd Delegatów po zapoznaniu się z dużymi potrzebami kulturalnymi Ziem Odzyskanych stwierdza, że na pisarzu polskim spoczywa obowiązek służenia tym prapolskim ziemiom wszelkimi dostępnymi mu sposobami. Zebrani we Wrocławiu pisarze oświadczają swą całkowitą gotowość jak najgorliwszego wypełnienia swych literackich obowiązków w stosunku do Ziem Odzyskanych. Walny Zjazd Z. Z. L. P. zobowiązuje Zarząd Główny Z. Z. L. P. do wypracowania konkretnych form urzeczywistniających te zobowiązania".



Jerzy Zawieyski

Na koniec warto zaznaczyć, że na podwieczorku, wydanym przez Zarząd Miasta Wrocławia w drugim dniu obrad, przyjęto przez aklamację, na wniosek Adama Polewki na członka honorowego Z. Z. L. P. **inż. Ptaszyckiego** — urzędnika Zarządu Miejskiego — który w pięknej literackiej formie wygłosił ciekawą gawędę o życiu i pracy stolicy Dolnego Śląska.

Polski inżynier z Wrocławia wszedł w nasze literackie grono. Czy potrzeba piękniejszego symbolu?

Zbyszko Bednorz

Racja

III Walny Zjazd ZZLP we Wrocławiu wykazał, że jakkolwiek ciągle jeszcze identyfikuje się u nas politykę z patriotyzmem, można jednak przy użyciu niedużej dozy taktu i dobrej woli nadać tym pojęciom wyraz zrozumiały dla najskrajniej je — w sensie teoretycznym — interpretujących. Jeśli uświadomiono sobie, że to wszechwładny los (stosuję ten termin w tym samym znaczeniu, w jakim użył go Stefan Żółkiewski w programowym referacie) rzucił naszą literaturę między oba te walce: patriotyzm i politykę — ugniatające ją bez przerwy od 130 lat, co akceptują zresztą współcześni marksiści — na jakiż temat mieli dyskutować pisarze, ci, którzy reprezentują „mądrość narodu" i ci, którzy są jego „sumieniem", i ci wreszcie, których naród czyta i chce czytać? Na temat walców? Los — oto główny winowajca.

Ale „na bok z żartem". Interpretacja losu znalazła swój wielostronny komentarz w wypowiedziach pisarzy marksistowskich i katolickich — szkoda, że nie wyczerpujący. Wydaje mi się, że właśnie centralnym punktem dyskusji ideologicznej powinien być „problem losu", wykraczający poza los bohaterów danego dzieła sztuki literackiej, a ogarniający nurt całej współczesnej literatury, otrząsającej się bardzo wolno z grozy lat wojennych. Problem ten zazębia się przecież z tzw. obowiązkiem społecznym pisarza, obowiązkiem dania wyrazu praw-

Kronika

CZECHOSŁOWACKIE NAGRODY PAŃSTWOWE 1947 ZA SZTUKĘ I NAUKĘ

W dniu swego święta państwowego — pamiątki wyzwolenia z roku 1918 — udzieliła Czechosłowacja nagrody swym najznakomitszym synom ostatnich czasów. Nagrody państwowe w wysokości 100.000 Kczs otrzymali: w dziedzinie muzyki dr. Władysław Vycpálek, za dzieło „Czeskie requiem", w dziedzinie dramatu Andrzej Bagár, za kreację w dramacie Al. Tołstoja „Iwan Groźny", za literaturę piękną pośmiertnie dr. Władysław Vanczura, za dzieło „Obrazy z dziejów narodu czeskiego", w dziedzinie plastyki również pośmiertnie Cyprian Majernik, za cykl obrazów z okresu wojny, w naukach przyrodniczych prof. dr. Fr. Slavik, za dzieło „Mineralogia i łożyska minerałów użytecznych na Słowaczyźnie", w naukach filozoficznych prof. dr. Fryderyk Hrozny, za dzieło „Najstarsze dzieje Przedniej Azji i Indii", w dziedzinie nauk technicznych prof. inż. dr. Wacław Kubelka, za dzieło „Garbarstwo" i za jego naukową działalność w przemyśle garbarskim. Nagroda dziennikarska przypadła pośmiertnie Juliuszowi Fucikowi, za działalność publicystyczną i dzieło „Reportaż pisany na stryczku", dalej redaktorowi „Zemedelskych novin" Rościsławowi Korczakowi, za konspiracyjną działalność dziennikarską, redaktorowi tygodnika słowackiego „Rolnicza niedziela" Fr. Votrubowi, za takie same zasługi. W dziedzinie radia nagrodę otrzymała Wolna Słowacka Radiostacja w Bańskiej Bystrzycy, za zasługi w walce wyzwoleńczej, Józef Bezdicek, reżyser radia czechosłowackiego, za wytworzenie nowoczesnego stylu reprodukcyjnego słuchowisk radiowych, chór czechosłowackiego radia, dr. Józef Kolárz, za pracę w audycjach młodzieżowych. W dziedzinie filmu odznaczeni zostali twórcy filmu „Syrena".

Na ogół można powiedzieć, że większość nagród tegorocznych jest wyrazem hołdu dla ludzi, którzy położyli duże zasługi w walce wyzwoleńczej podczas ostatniej wojny. Trzech z laureatów już nie żyje, a dwu z nich — Vanczura i Fuczik — zginęło z ręki zaborców niemieckich. Tematowo ściśle są związane z okresem ostatniej wojny nagrodzone płótna Majernika oraz dzieło Vycpálka „Czeskie requiem". Nagrody dziennikarskie dotyczą wyłącznie działalności konspiracyjnej.

Pośród nagrodzonych widzimy trzy nazwiska słowackie oraz zespół radiostacji w Bańskiej Bystrzycy. Wreszcie dzieło prof. Slavika jest poświęcone bogactwom naturalnym Słowaczyzny. Fakty te niejako podkreślają równorzędność obu narodów Republiki Czechosłowackiej i są świadectwem pomyślnego rozwoju kulturalnego Słowaczyzny.

Laureaci nagród naukowych są uczonymi światowej sławy. Szczególnie zaś znany w świecie jest orientalista, dr. Hrozny, który dokonał już czterech znakomitych odkryć, z których każde by wystarczyło dla pozyskania mu światowej sławy. Hrozny mianowicie wykazał, że język hetycki jest językiem indoeuropejskim, następnie rozwiązał hieroglificzne pismo i język hetycki. Dalszą jego zasługą to rozwiązanie prastarego języka i pisma protoindyjskiego i wreszcie pisma z wyspy Krety.

Kilka słów należałoby poświęcić również Władysławowi Uancurowi, jednemu z najznakomitszych przedstawicieli nowoczesnej literatury czeskiej. Jest on uważany za klasyka nowoczesnej prozy czeskiej, a równocześnie za jej postać rewolucyjną. Szczególnie uderza nas w jego bogatej twórczości powieściowej, nowelistycznej i dramatycznej niezwykła śmiałość formy i bardzo oryginalne podejście do tematu utworu. Jest tam równocześnie patos i ironia, tragika i groteskowość; szuka on zawsze w swych utworach podwójnego oblicza każdej rzeczy. Nie widać w je-

we Wrocławiu

rozumu

dzie. Aby jednak ten obowiązek został spełniony, pisarz musi zbliżyć się do prawdy, musi znaleźć drogę do niej wiodącą. Istotny sens zjazdu wrocławskiego, „zjazdu zgody", polegał chyba na tym, iż przyjęto istnienie jednej prawdy społecznej, do której wiedzie więcej dróg, niż jedna. Marksiści będą szli swoją — katolicy swoją. Za kilka lat przekonamy się, czy obie prowadziły do jednego celu. W tej chwili można tylko stwierdzić, że kompromis nie jest wcale głupim wynalazkiem. Czy nie racja?

W ogóle okazało się, że pisarze potrafią myśleć praktycznie. Omawianie spraw zawodowych zajęło więcej czasu niż problemy ideowe. Notuję to bez pretensji, ponieważ sądzę, że los książki jest równie ważny, jak los jej bohatera. I w tym wypadku racja będzie po stronie jednolitego frontu wszystkich pisarzy. Będzie to — jak i poprzednia — racja rozumu.

Chociaż...

Maurycy Maeterlinck w jednym z rozdziałów „Inteligencji kwiatów" powiada: „Rozum nasz może mieć nawet rację, ale nierównie głębszą, pełniejszą rację ma ideał sprawiedliwości, twierdzący, że rozum kłamie". Ostatni zjazd przekonał mnie, że marksista odrzuci to mistyczne sformułowanie, ale przedtem wyłuska źdźbło prawdy zawarte w dwu słowach przytoczonego zdania, słowach posiadających jednoznaczną wartość dla każdego człowieka: ideał sprawiedliwości.

Bogdan Butryńczuk







Od lewej: Stefan Dybowski, min. kultury i sztuki; Dora Gabe, przedstawicielka PEN-Clubu bułgarskiego; A. C. Nor, przedstawiciel Synd. Pisarzy Czeskich.

Przeklęta gęś...

„Niech przeklęta będzie gęś, która dostarczyła pióra na napisanie tego artykułu!"...

Taką patetyczną anatemę rzucił na artykuł Jana Kotta o współczesnej powieści polskiej na wrocławskim zjeździe literatów Jan Brzechwa w swym referacie „O solidarności zawodowej". Referat ów, gdyby go autor przerobił na wiersze, mógłby dać w rezultacie dwa piękne utwory: wspaniałą elegię nad dolą pisarza i nie mniej świetną satyrę, która miałaby szanse na zastąpienie „Chudego literata".

Ale przypuszczam, że gęsi nie zlękną się owego gromkiego



Jarosław Iwaszkiewicz w ujęciu S. K. Dawskiego.



Stefan Żółkiewski.

przekleństwa i że nadal dostarczać będą piór na podobne, jak Kotta, artykuły. I będzie to z ich strony zupełnie [illegible] przejawem pewnego rozsądku. Bo klątwa Jana Brzechwy przypomina mi trochę owe nagminne w średniowieczu klątwy za niepłacenie świętopietrza. Rzucona jest trochę za fanatycznie i wywodzi się z nieco jednostronnych pobudek. Świetny autor „Pchły-szachrajki" który realizuje w sposób doskonały postulat, wysunięty na Zjeździe ze strony Ministerstwa Kultury i Sztuki, uprawiania przez literata drugiego zawodu, gdyż czynny jest również jako adwokat, ma wśród kolegów całej Polski także podwójną sławę. Do sławy literackiej jest mu przydana sława nieugiętego obrońcy praw zawodowych pisarza. Może więc pewna przesada, jaką formuje swe postulaty w niektórych punktach jest nawet wyrazem słusznej taktyki. Ale to przekleństwo rzucone na gęś Jana Kotta budzi pewne zastrzeżenia.

Artykuł Kotta był jednostronny, złośliwy, upraszczający, wymyślający — słowem zoilowski. Dla mnie jasny był jego cel: sprowokowanie dyskusji. I cel ten został osiągnięty z korzyścią dla literatury. Nie można go więc potępiać, tak jak uczynił to Brzechwa za to, że obniżył prestiż współczesnej literatury i pisarza na rynku, że spowodował niechętne i złośliwe ustosunkowanie się do nich pewnych czynników decydujących w ten czy inny sposób o prawach materialnych literatury. Taki stosunek mógł on wywołać tylko u wielkich prostaczków, a mamy prawo domagać się, by nie ubodzy duchem decydowali w kwestiach, o których mowa. Gdybyśmy chcieli konsekwentnie snuć nić rozważań Brzechwy, doszlibyśmy do przekonania, że członkowi ZZLP nie wolno jest ocenić ujemnie dzieła kolegi lub współczesnego zjawiska literackiego. Pruszyński i Żukrowski musieliby Żółkiewskiemu wytoczyć proces o odszkodowanie za straty materialne i za poniżanie ich w opinii wydawców. Dobraczyński miałby tych procesów co nie miara, a Borowski siedziałby już w więzieniu za Kossak-Szczucką. Tych spraw nie można regulować w granicach tzw. solidarności zawodowej, która jest zjawiskiem bardzo cennym i w życiu literackim pożądanym, nawet bezwzględnie koniecznym, ale która nie może doprowadzać do stosowania w krytyce literackiej haseł „chwalmy się" i „byczo jest".

Do czego doprowadza jednostronna solidarność zawodowa pokazał w pierwszym swym przemówieniu zjazdowym Adam Polewka. Mówił o teatrze. Nazwał go naprzód wyłączną domeną cechu, któremu na imię Związek Artystów Scen Polskich. Ten cech ma wszelkie właściwości zorganizowanej mafii. On to sprawia, że literat nie ma w teatrze nic do powiedzenia ani jako kierownik literacki, ani jako autor, gdyż o wszystkim decyduje interes cechowy. Ten interes robi z teatru cyrk. Każdy reżyser i każdy wybitniejszy aktor stają się specjalistami od kilku sztuk z tymi sztukami przez lata obwożą się jak z cyrkiem po całej Polsce z miasta do miasta, blokując miejsce przeznaczone na dzieła sceniczne współczesnych pisarzy. Te cyrkowe metody kwitną zwłaszcza w naszym teatrze powojennym. Lenistwo wspierane całą siłą doskonale zgranej organizacji zawodowej święci swoje triumfy. To stanowisko Polewki potwierdził Stefan Otwinowski. Nie wypowiedział się jednak Zawieyski, któremu „Rozdroże miłości" zapędzono w ślepą uliczkę, ale który ma jeszcze szansę z [illegible] Jakuba.

Zwracając uwagę w dyskusji na inne jeszcze sprawy zawodowe, kilku mówców trafnie charakteryzowało pozycję pisarza jako człowieka pracy. Obecnie bowiem istnieje w Polsce taka sytuacja, że pisarza żyjącego wyłącznie ze swego literackiego zawodu, (jak to się u nas mówi „z pióra"), traktuje się na równi z lekarzem, adwokatem, kupcem i prywatnym przemysłowcem. Od zasady tej odstąpiło tylko Ministerstwo Skarbu, pobierając jedynie podatek dochodowy i to przy zastosowaniu zniżek (obym tylko Ministra za wcześnie nie pochwalił, gdyż obecnie chodzi o przedłużenie zniżek podatkowych na rok 1948). Mimo tego rozróżnienia ze strony Ministerstwa Skarbu, wszelki inny fiskus łupi literata co wlezie według zasady: jesteś wolny zawód, masz masę pieniędzy, więc płać. Na zjeździe podkreślono, że literat jest w Polsce jednym z najciężej pracujących ludzi. Jeśli głosimy przodownictwo w pracy i wyścig pracy, o tym znamieniu pracy pisarza nie wolno nam zapominać. Jego dzień pracy wynosi przeciętnie kilkanaście godzin, o wydajności jego pracy świadczą książki i czasopisma, nie mówiąc o innych dziedzinach działalności. Przy tym wszystkim zachodzi zjawisko w żadnym innym zawodzie poza zawodami artystycznymi nie spotykane — zjawisko eksploatacji talentu przy szybkim spalaniu się sił żywotnych. Jeśli na konferencji w Warszawie dyrektor Przemysłu Węglowego Topolski oświadczył prasie, że przodujący górnik może zarobić miesięcznie do 50.000 zł, to dlaczego bogaczem jest literat zarabiający przeciętnie 20.000 do 40.000 złotych miesięcznie przy wysokich kosztach, jakie musi ponosić na rzecz swojego warsztatu pracy (studia, książki, pomoce, podróże itp.)? To jest sprawa, którą państwo musi jakoś generalnie rozwiązać! Upośledzenia literata w stosunku do innych ludzi zawodów zarobkowych pcha go do szukania posad, do czepiania się różnych instytucji, które zapewniałyby



Stefan Kisielewski.

mu przywileje człowieka pracującego, pcha go do „drugiego zawodu" ze szkodą dla jego zawodu literackiego, z koniecznością rezygnowania z intensywnej pracy twórczej.

Srogie rozczarowanie zgotowało uczestnikom Zjazdu Ministerstwo Komunikacji, które przyznało na drogę powrotną pierwsze zniżki kolejowe dla literatów. Okazało się, że [illegible] 3-cią klasę pociągów osobowych. Czołowa ekipa literatury polskiej nie znalazła w oczach jakiegoś referenta ministerialnego nawet tej łaski, jaką jest udziałem pierwszej lepszej drużyny piłki nożnej udającej się na mecz. No, ale piłkarze muszą dojechać w doskonałej formie, wypoczęci i zdolni do zwycięskich sukcesów. Literat może natomiast znosić zupełnie śmiało gehennę podróży z jednego końca Polski na drugi. W domu nie czekają go żadne zawody sportowe. Adam Polewka wystąpił w związku z tym na trybunie i w imieniu czterech pozostałych literatów oświadczył, że oni to załatwią. Przysięgał niemal. Zobaczymy!

Inne rozczarowanie zgotował Kisiel-Kisielewski wygłaszając swój tradycyjny felieton jako głos w dyskusji. Zakończył go słowem „bujda" i to słowo nie schodziło mu już z ust przez cały ciąg zjazdu. Krzyknął je gromkim głosem raz jeszcze na samo zakończenie, gdy dwaj vice-prezesi Żółkiewski i Zawieyski przepijali „na ty", kończąc tę ceremonię przepisowym pocałunkiem z dubeltówki. Lepiej powiodło się Janowi Aleksandrowi, Królowi „Wsi". Jego długie przemówienie przyśpieszyło obiad, gdyż słuchacze chyłkiem zmykali całymi grupami do restauracji, by tam dowiedzieć się od nieobecnych, o co chodzi mówcy. Za to pozostali zgotowali Janowi Aleksandrowi taką owację, że spontaniczne oklaski przecięły jego wspaniałą mowę w środku i napełniły go przekonaniem, że powiedział już wszystko. Demokratyczni monarchiści triumfowali i rzekli: z chłopa także może być Król. Po tym przemówieniu Jan Aleksander niezwłocznie opuścił incognito Wrocław.

Mimo wszystko solidarność zawodowa, o którą walczył Brzechwa, wycisnęła za zjeździe literatów swe mocne piętno. Cechowała go bowiem atmosfera serdecznego koleżeństwa i przyjaźni, którą nazwałbym intelektualną. W duchu tego koleżeństwa i przyjaźni zapowiedziano wspólną walkę o prawa zawodowe, walkę z „cechem teatralnym" i w tym duchu rozgromił Żółkiewski wydawców, wołając aż się ambona trzęsła: „Co was obchodzi realizm? To nasza sprawa! Wasza rzecz to papier i pieniądze!"

Zdzisław Hierowski.



Wilhelm Szewczyk

»Śluby Panieńskie«

na Małej Scenie w Katowicach



Scena zbiorowa z I-go aktu

ŚLUBY PANIEŃSKIE — komedia w 5 aktach wierszem Aleksandra Fredry, reżyseria: Wiktor Biegański, dekoracje Wiesław Makojnik, asystent dekoratora Janina Bąkowska-Przeradzka. Premiera na Małej Scenie Teatru Państwowego im. Wyspiańskiego w Katowicach w dniu 22. 11. br.

Trudno mi powiedzieć dlaczego, ale *„Śluby panieńskie"* na ostanim katowickim spektaklu zrobiły na mnie mniejsze wrażenie niż przy lekturze sprzed kilku miesięcy. Podczas gdy po odświeżeniu sobie Fredrowskiego tekstu chodziłem przez dni parę pod urokiem humoru tej komedii i jej atmosfery, spektakl, który przecież uznać trzeba za zupełnie dobry, przeszedł u mnie bez głębszego wrażenia. Pozostały z niego tylko utrwalone w pamięci fragmenty, szczególnie urocze urywki, całość natomiast pozostawiła jakieś nijakie wrażenie. Przypuszczam, że u części publiczności można by stwierdzić to samo. Kontrolowałem reakcję sali. Momenty, które powinny były, moim zdaniem, poruszyć widownię, prowokować ją do śmiechu czy nawet oklasku, przechodziły bez echa lub kwitowane były tylko lekkim szmerkiem zadowolenia.

Poszukajmy naprzód przekonujących punktów spektaklu.

Podyktowana warunkami Małej Sceny kameralność przedstawienia, wyraziła się przede wszystkim rozwiązaniem dekoracyjnym, które wkraczało już w wygląd sali. Nie tylko zagarnięte zostało proscenium. Umieszczone na sali światła przedłużały salon pani Dobrójskiej daleko poza ramy samej sceny. Skierowanie nie tylko wszystkich monologów, lecz także i niektórych partii dialogu wprost do widzów przy jak najdalszym wysuwaniu aktora w ich kierunku zacieśniało i pogłębiało kontakt. Ten sam eksperyment z dużym powodzeniem pokazano nam przy zeszłorocznej realizacji *„Męża i żony"*. W tej komedii ma on również swoje pełne uzasadnienie. *„Śluby panieńskie"* nadają się na to doskonale i w wielu momentach bardzo na tym zyskują. Inwencja reżyserska doszła do głosu jeszcze w niektórych sytuacjach, lecz tutaj już możemy mówić, że zawarty w „Ślubach" komizm sytuacyjny nie zawsze został wygrany. Stanęły temu na przeszkodzie jednak rozmiary sceny, która pomimo poszerzenia jej o proscenium nie mogła pewnych układów sytuacyjnych pomieścić. Do niektórych pomysłów reżysera można by mieć zastrzeżenia. Chodzi np. o dwukrotnie powtórzony motyw przewracania się przez próg, doskonale zresztą zagrany przez aktorów, o scenę „ślubów" poprzedzoną uściskiem ręki zbyt andrusowskim, o przerysowane trochę urozmaicenie dialogu Klary z Albinem. To byłyby drobiazgi reżyserskie dopraszające się korektury.

Z piątki pierwszoplanowych figur p. *Krystyna Miecikówna* okazała, że posiada świetne warunki dla tej właśnie roli: młodość zabarwioną dziecinnym wdziękiem, temperament, dużą umiejętność mówienia fredrowskiego tekstu i technikę aktorską jeszcze niezbyt dojrzałą i niezawsze pewną, ale wykazaną w stopniu znacznie wyższym niż w rolach poprzednich. Jej Klara w bardzo wielu momentach całkowicie odpowiadała autorskiej koncepcji tej postaci: była młodzieńczo i naiwnie czupurna, w tym samym stylu przekorna, egzaltowna i żywa jak iskra, była naprawdę komiczną, nigdy zaś złośliwą w sposób przykry. Tekst wiersza brzmiał u nie bez skazy i był niemal niezawodnie interpretowany. *P. Mieczysław Jasiecki* jako Albin dał jedną ze swych najlepszych ról. Zasługuje to tym więcej na podkreślenie, że Albin jest postacią karykaturalną, jedyną w ten sposób pomyślaną postacią w komedii, wymagającą od aktora dużej techniki i konsekwencji. Posądza się Fredrę, że chciał w nim ukazać w karykaturze postać romantycznego, płaczliwego kochanka, że może nawet parodiował mickiewiczowskiego Gustawa. Jeżeli takie były intencje autora, co jest wielce prawdopodobne, p. Jasiecki spełnił je świetnie, był naprawdę zakochaną „fontanną" chociaż nie uronił ani jednej łezki. Jego płaczliwe zwierzenia miłosne miały subtelny podkład nie fałszowanego sentymentu.

P. Krystyna Wydrzyńska odbijała wyraźnie w roli Anieli od Klary. Tak być powinno, choć jej Aniela była poważna, pozbawiona tej naturalnej naiwności, która jest w konwencjonalnej interpretacji tak charakterystyczna. Wyrównywała to grą. Umiała po prostu „robić" tę naiwność bardziej od Klary sentymentalnej i wrażliwej dziewczyny, przeżywającej proces rodzenia się uczucia, proces bardzo delikatny i subtelny. U tej aktorki podkreślić trzeba doskonałość dykcji i piękne brzmienie wiersza. W roli Gustawa wystąpił p. *Zbigniew Przeradzki*, który wprawdzie nie stworzył roli popisowej, ale dysponując odpowiednimi warunkami zewnętrznymi i umiejętnościami aktorskimi dał postać utrzymaną na dobrym poziomie czołowych ról spektaklu. Była w niej naturalna swoboda i specjalny, męski, niewymuszony wdzięk. Może tylko za mało przejął się „magnetyzmem" i za mało miał ciepła w scenach lirycznych z Anielą. P. *Wiktor Biegański* w roli Radosta nie pokazał wszystkich swych możliwości. Nie nadążył za tempem pierwszej czwórki młodych, tempem, które sam podyktował jako reżyser z wielką dla przedstawienia korzyścią. Po tej roli w jego interpretacji spodziewaliśmy się więcej. P. *Michnowska* w niewielkiej roli Dobrójskiej, jak zwykle była bez zarzutu.

Dekoracje *Wiesława Makojnika* przy współudziale *Janiny Bąkowskiej-Przeradzkiej* dobre w stylu i szczegółach, doskonałe w pomyśle rozszerzenia sceny, przez skupienie niezbędnych dla sztuki mebli na małej przestrzeni robiły wrażenie ciasnoty. Dekoratorzy nie mieli tu wdzięcznego zadania.

Jeśli z trzech przedstawień fredrowskich widzianych na naszej scenie w ubiegłym i obecnym sezonie, na pierwszym miejscu pozostawilibyśmy nadal „Męża i żonę", które w Krakowie podobno mniej się podobało, to obecne przedstawienie „Ślubów" należałoby chyba postawić na drugim miejscu przed „Panem Jowialskim". Z tych trzech spektakli widać, że Katowice mają ambicje fredrowskie. Jeśli uwzględnimy jeszcze graną pod kierunkiem Horzycy w roku 1945 „Zemstę", stwierdzić musimy, że żadne fredrowskie przedstawienie nie znalazło się poniżej dobrego poziomu, że każde z nich pozostawiło trwałe wspomnienie. Nie ulega wątpliwości, że tak jest i ze „Ślubami" pomimo początkowych zastrzeżeń.

Zdzisław Hierowski

Książka Ziem Odzyskanych

Pod znakiem »Gryfa«

Wzrost zainteresowania

Nasza literatura pomorzoznawcza powiększa się może nieznacznie i z pewnym opóźnieniem, niemniej jednak stale i w coraz większych rozmiarach. Dzięki temu posiadamy już dziś szereg wartościowych pozycji wydawniczych, wzbogacających naszą wiedzę o tej części Polski. Ostatnio pojawiło się znów kilka cennych książek poświęconych różnym zagadnieniom Pomorza Zachodniego. Są to — **„Pomorze Zachodnie"** Stan. Srokowskiego, **„Kaźko szczeciński"** Kryst. Pieradzkiej, **„Szczecin, port, okolice"**, zbiorowa praca kilku szczecińskich autorów, **„Pod znakiem Gryfa"**, Wal. Lachnitta oraz **„Szczecin — cyfry i fakty"** L. Gustowskiego.

Tych **pięć książek** wydanych, w ciągu ostatnich kilku miesięcy, to już pewna pozycja bibliograficzna, świadcząca wyraźnie o wzroście zainteresowania Pomorzem Zachodnim i o pewnych wynikach w pracy.

„Pomorze Zachodnie"

Najokazalszą z nich jest książka Stan. Srokowskiego pt. „Pomorze Zachodnie". To już nie broszurka czy zbiór przypadkowych artykułów, ale duża monografia, pracowite i naukowo opracowane studium geograficzne, gospodarcze i społeczne Pomorza Zachodniego. Inicjatywę do napisania tej książki dał Instytut Bałtycki, zasłużona placówka naukowa, badająca jeszcze przed wojną wszelkie gospodarcze problemy naszego morza i jego wybrzeży.

Jak wskazuje sumiennie zebrana bibliografia przedmiotu, autor oparł swą pracę na obszernym materiale naukowym, polskim i obcym. Można więc wziąć tę książkę do ręki z całym zaufaniem, tym bardziej, że autor jest wybitnym znawcą przedmiotu, a Pomorze Zachodnie poznał pierwszy raz z autopsji jeszcze w r. 1907, przeszedłszy na piechotę — za czasów niemieckich! — cały obszar dzisiejszego Pomorza Zachodniego, po raz drugi zwiedziwszy ten obszar sam w roku ubiegłym. Rzadka to więc bezpośrednia znajomość terenu, tak jeszcze świeżego pod względem naukowym.

Srokowski rozpatruje najpierw strukturę fizyczną Pomorza Zachodniego. Ustala więc rozwój granic politycznych i administracyjnych na tym terenie, podaje wyniki badań geologicznych, zasobów mineralnych rodzaje gleby, daje szczegółowy opis Zalewu Szczecińskiego i wybrzeża. Część druga tego interesującego dzieła przedstawia sprawę ludności Pomorza Zachodniego, a więc pochodzenie dawniejszych mieszkańców oraz skład ludnościowy przed pierwszą wojną i po drugiej wojnie światowej. Trzecia część „Pomorza Zachodniego" daje obraz życia gospodarczego. Uwzględnia tu autor strukturę rolną naszego regionu, regionalne rozmieszczenie warsztatów rolnych uwagi o produkcji roślinnej, omawia obszernie zagadnienie przemysłu Pomorza Zachodniego i problemy komunikacji. Osobne studium poświęca portowi szczecińskiemu i Odrze. W całości stanowi książka na ogół pełny obraz Pomorza Zachodniego i jest niezbędną encyklopedią ziemi pomorsko-zachodniej. Książkę tę warto polecić zarówno fachowcom, interesującym się specjalnymi zagadnieniami, jak i tym, którzy pragnęliby uzyskać ogólny pogląd na całość zagadnienia. Należy jeszcze dodać, że książka napisana jest przystępnym, prostym i zwięzłym językiem.

„Kaźko Szczeciński"

Niemniej interesująca, choć skromniejsza rozmiarami i pod innym aspektem ujęta, jest książeczka Krystyny Pieradzkiej pt.. „Kaźko Szczeciński", wydana przez Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych. Ta mała broszurka słusznie polecona została przez Ministerstwo Oświaty do bibliotek licealnych. Wskrzesza bowiem pamięć o ciekawej i barwnej historii życia jednego z piastowskich książąt szczecińskich przede wszystkim zaś uwydatnia wielką ideę pomorsko-bałtycką Kazimierza Wielkiego. Jak wiadomo, ten wielki król polski pragnął przez wyznaczenie **drugiego** po Ludwiku Węgierskim następcy tronu polskiego, złączyć Pomorze Zachodnie z Polską i w ten sposób przeszkodzić koalicji brandenbursko-krzyżackiej. Nic też dziwnego że do pewnego stopnia **aktualność** historyczna tej postaci zainteresowała już, u wstępu naszej drugiej niepodległości, historyków i publicystów. O Kaźku szczecińskim pisał jeszcze w r. 1945 Stan. Helsztyński w „Odrodzeniu", a potem M. des Loges w „Wietrze od morza". Ci dwaj autorzy popełnili jednak jeden zasadniczy pod względem historycznym błąd, który prostuje Krystyna Pieradzka. W świetle ich relacji Kaźko miał być **bezpośrednim** następcą po Kazimierzu Wielkim, natomiast Pieradzka stawia twierdzenie, że Kaźka mianował Kazimierz następcą, ale **po Ludwiku Węgierskim.** Z jednym wszakże nie można zgodzić się z autorką. Faktem jest niewątpliwym, że Kaźko nie okazał się całkowicie godnym następcą Kazimierza Wielkiego i po jego śmierci nie umiał opanować sytuacji politycznej, staje się tylko podmiotem walk o koronę i pozwalając na to, że stronnictwo andegaweńskie Ludwika Węgierskiego zwycięsko przeprowadziło swój program i utrzymało na dalszą metę ster rządów. Czy jednak w dziwnym zachowaniu się tego książątka pomorskiego było **tylko** niedołęstwo i lekkomyślność postępowania? Czy raczej w tym, że Kaźko pogodziwszy się z Ludwikiem Węgierskim popierał swego zwycięskiego rywala — i to nawet w czasie buntu przeciwko niemu i przypłacił to poparcie śmiercią pod Złotoryją, nie kryje się raczej wielkoduszność tego księcia szczecińskiego, który **nie chciał dopuścić do bratobójczych walk?** Czy nie odbił się w tym raczej genialny rys **polityki pokojowej** i nauk udzielanych Kaźkowi przez wielkiego króla? Byłoby dobrze, gdyby skromna, ale ciekawa książeczka Pieradzkiej wywołała dyskusję wśród historyków, którzyby wyjaśnili dostatecznie sporne kwestie.

„Szczecin, port, okolice"

Odmienny charakter nosi niewielka broszura, wydana przez kilku szczecińskich autorów nakładem Towarzystwa Geograficznego w Szczecinie. Czesław Piskorski omawia w niej pokrótce historię Szczecina, Euf. Terebucha i Eug. Horak zajmują się portem, J. Brinken i Jul. Mikołajski przedstawiają stan badań geograficznych dotyczących okolic Szczecina. Kilka mapek i rysunków, wykonanych zresztą fatalnie, uzupełniają tę nader skromną, choć zawierającą kilka nowych, nieznanych szczegółów, książeczkę.

„Szczecin, fakty i liczby"

Uzupełnieniem, pod pewnym względem, książki Stan. Srokowskiego jest praca L. Gustowskiego pt. „Szczecin, fakty i liczby", wydana przez Wydawnictwo Zachodnie w Poznaniu. Książka Gustowskiego zajmuje się tylko gospodarczymi zagadnieniami Szczecina i Odry, ilustrując je za to obficie szczegółowymi cyframi i faktami. Tak np. kwestia portu opracowana jest dokładnie od strony historycznego rozwoju portu, i poparta obszerną analizą obrotów portowych, oraz zagadnieniami przemysłowymi i gospodarczymi Nadodrza. Książka Gustowskiego, oparta na źródłowych materiałach, obrazuje dokładnie zagadnienie Szczecina jako całości gospodarczo-przemysłowej. Napisana sucho „cyfrowo" przeznaczona jest raczej dla specjalistów aniżeli dla przeciętnego czytelnika.

„Pod znakiem Gryfa"

Spośród wszystkich tu wyliczonych książek najżywiej i najciekawiej napisana jest książka Wal. Lachnitta pt. „Pod znakiem Gryfa". Napisana przez szczecińskiego autora, wydana przez szczecińską spółdzielnię „Polskie Pismo i Książka" i ozdobiona piękną szatą graficzną przez szczecińską grafikę, stanowi chlubny dowód coraz żywiej rozwijającego się życia kulturalnego w Szczecinie. „Pod znakiem Gryfa" jest pierwszą książką Wal. Lachnitta i jak każda pierwsza książka posiada swoje typowe zalety i wady „pierwszości". Wady te zresztą są niewielkie i możliwe do usunięcia w następnym wydaniu. Zarzucić bowiem można autorowi tylko pewną **przypadkowość** zebranego materiału, tu i ówdzie pewną łatwiznę stylistyczną (np. w opowiadaniu „Ziemia mówi") oraz nieliczne błędy historyczne. Najbardziej może rażącym z tych błędów jest twierdzenie, w ciekawej zresztą i pięknej opowieści „Maszko i wiśnia", że **„jedynie Długosz"** wspomina u nas o związkach Pomorza z innymi dzielnicami Polski.

Tym słowem „jedynie" przekreślił autor piękne i obszerne relacje **Galla Anonima**, pierwszego przecież kronikarza Polski, o żywych związkach Pomorza z resztą kraju. Dałoby się też coś niecoś powiedzieć o tych związkach także na podstawie innych źródeł zagranicznych, jak świadczą o tym przypiski historyczne Grabskiego w jego powieści „Saga o jarlu Broniszu". Błędy te nie umniejszają jednak zasadniczej wartości książki. Treść jej stanowią krótkie opowiadania o charakterze felietonów z przeszłości Pomorza Zachodniego. Autor z niezwykłym zamiłowaniem i znawstwem przedmiotu porusza się w tak mało znanej dotąd historii Pomorza Zachodniego, podchwytuje zręcznie każdą ciekawszą legendę, anegdotę i opowieść z dawnych lat, nie zatracając jednak nigdy z oczu zasadniczej perspektywy historycznej, umożliwiającej mu skonfrontowanie tych legend i opowieści z filiacjami słowiańskimi i polskimi. Tych dwadzieścia pięć felietonów, pisanych bardzo żywym i sugestycznym językiem migocze przed oczyma czytelnika jak barwna mozaika. Lachnitt umie spojrzeć na historię i legendę i wykrzesać z nich raz poważną, to znów dowcipną, czasami zaś rzewną nutę nie zatracając nic z uroku szczegółów i drobiazgów. Słusznie też mówi w jednym z opowiadań pt. „Białogard, krowy i historia", że w każdej legendzie jest część jakaś historycznej prawdy, a niejedno znów prawdziwe zdarzenie pod wpływem czasu nabiera legendowej patyny. I po latach trudno oznaczyć granice prawdy i zmyślenia. Ale czy to takie ważne? Czasem zmyślenie jest piękniejsze od prawdy, a sama prawda wśród dodanych przez wieki ozdób wydaje się bardziej prawdziwa". Gruntowna znajomość przedstawianych zdarzeń, a jednocześnie wrażliwość na poetycką piękność legendarnych wątków wskazały Lachnittowi właściwą, **pośrednią** drogę, dzięki czemu otrzymujemy obrazy prawdziwe pod względem historycznym i **pełne** poetyckiego polotu. W świetnym gawędziarskim sposobie opowiadań operującym dobrymi skrótami, igrającym doskonałymi zestawieniami błyskotliwymi szczegółami tkwi zasadnicza wartość tych pięknych opowiadań. Dobrze zrobiłoby Ministerstwo Oświaty, gdyby **poleciło tę książkę młodzieży gimnazjalnej jako obowiązującą lekturę szkolną o Pomorzu Zachodnim.** „Pod znakiem Gryfa" bowiem, to jeszcze jedna z tych książek, które odkrywają nam zagubione w pomroce dziejów historyczne szlaki polskości na Pomorzu Zachodnim.

Stanisław Telega

czesko-słowacka

go twórczości obcych wpływów, nie są też jego utwory prostym odbiciem rzeczywistości. Szuka on zawsze artystycznej stylizacji istniejącego stanu rzeczy. Dzieło nagrodzone, „Obrazy z dziejów narodu czeskiego", powstało przy ścisłej współpracy poety z naukowcami. Jest ono oparte na materiałach naukowych, które znakomity pisarz przetopił w swej fantazji w piękny obraz przeszłości swego narodu.

juw.

WĘGRZY O ZMARŁYM CZESKIM POECIE S. K. NEUMANNIE

Zmarłemu niedawno czeskiemu poecie S. K. Neumannowi, poświęca wiele miejsca węgierska prasa literacka. Poważny węgierski tygodnik literacki „Tovább", zamieścił dłuższy szkic o Neumannie pod bardzo charakterystycznym tytułem: „S. K. Neumann — czeski Gorkij". W polskiej prasie literackiej, poza artykułem w „Odrze" — śmierć Neumanna minęła bez echa.

CZESKA KSIĄŻKA O ŁUŻYCACH

Nakładem „Spolecnosti przatel Lużic" (Towarzystwa Przyjaciół Łużyc) w Pradze, została wydana piękna książka o Łużycach, napisana przez znanego archeologa czeskiego dr. Jerzego Neustupnego pt. „Praveke dejiny Lużice". W książce tej autor polemizuje z pewnymi wywodami uczonych polskich na temat Łużyc.

FRANCJA INTERESUJE SIĘ LITERATURĄ CZESKĄ

Dzięki umiejętnie przeprowadzonej propagandzie, daje się we Francji zauważyć bardzo żywe zainteresowanie literaturą czeską, o czym świadczy szereg nowych przekładów. Prócz mniej wartościowych dzieł czeskich, przetłumaczona została także na język francuski książka Władysława Wanczury pt. „Koniec starych czasów", będąca żelazną pozycją czeskiej literatury przekładowej.

Iv.

„VLASTIVEDNY SLOVNIK MORAVSKY"

Pod takim tytułem wyszedł trzeci numer zasłużonego czasopisma „morawskiego", gdzie zamieszczono szereg cennych prac naukowych jak artykuł morawskiego historiografa Bedy o tzw. Hanakach czyli ludności zamieszkującej na Morawach. Opinia ta zebrana i napisana jeszcze w roku 1873 nie grzeszy lapidarnością, tak często spotykaną współcześnie u historiografów czeskich. Prócz tego numer pisma przynosi także studium prof. Michała Wanaczka pt. „Na czesko-morawskim pograniczu w czasie wielkiej rewolucji francuskiej 1792 roku". Artykuł Wanaczka, gdzie autor po raz pierwszy czerpie materiał z urzędowych archiwów sądowych, jest dużym przyczynkiem do dziejów tzw. helwedzkiego spisku. Prócz tego w czasopiśmie tym należy odnotować rozprawę o narzeczach morawskich w etnograficznym pojęciu Moraw oraz szereg innych ciekawych prac.

SŁOWNIK LUDOWYCH POWIEDZONEK

Nie tak dawno na łamach warszawskich „Nowin Literackich" (piszę: warszawskich, gdyż jak wiadomo w Pradze już od kilku lat pod takim samym tytułem wychodzi pismo, przeznaczone dla członków klubu bibliotecznego Elk.), skarżył się K. A. Jaworski na trudności, jakie musi przezwyciężać tłumacz, który postanowił przyswoić ten czy inny literacki utwór czeski na „mowę ojców swoich". Są to przede wszystkim trudności językowe będące konsekwencją używania nowych zwrotów czy też czerpania z różnych narzeczy ludowych, których nie brak jest w Czechosłowacji

Celem poszerzenia wiadomości o języku czeskim, pod koniec jesieni br. znana praska firma wydawnicza F. Borowy, wyda wspaniały słownik językowy Zaoralka pt. „Slovnik lidovych rczeni" (Słownik ludowych powiedzeń). Słownik ten jest tak zredagowany, że będzie dziełem bardzo pomocnym dla tych wszystkich tłumaczy polskich, którzy z takiej czy innej przyczyny nie mogą wyjechać na dłuższy pobyt do Czechosłowacji, aby tutaj poczynić potrzebne studia językowe.

Wśród czasopism

Tzw. numery specjalne przychodzą naszej prasie dosyć łatwo i tym samym w układzie swoim oraz treści nie zdradzają zbyt poważnych walorów. Najczęściej ta „specjalność“ polega na dosyć przypadkowym nagromadzeniu materiału związanego z danym aktualnym tematem, wskutek czego taki numer ma charakter magazynu a nie stanowi jasno rozplanowanej, celowo skonstruowanej całości. Zjawisko to obserwujemy już dość dawno, wystąpiło ono również i ostatnio z okazji 30 rocznicy Rewolucji Październikowej, którą cała ogólnopolska prasa literacka a po części także i nieliteracka uczciła szeregiem specjalnych numerów radzieckich.

Najokazalej wystąpił miesięcznik Komitetu Centralnego PPR *Nowe Drogi*, którego numer listopadowy (6) jest pokaźną 300-stronicową księgą, wyposażoną w liczny materiał ilustracyjny w tekście i na wkładkach. Ten numer nie ma w sobie przypadkowości, o której była mowa powyżej. Cel jego i zamiar redakcyjny jest jasny: ukazanie w możliwie wszechstronnym oświetleniu samego historycznego faktu rewolucji oraz zbilansowanie jej rezultatów na przestrzeni lat trzydziestu, rezultatów ideologicznych, politycznych, gospodarczo-społecznych, kulturalnych, ujawnienie związków rewolucji ze sprawą polską i udziału Polaków w jej przeprowadzeniu. Po obszernej części artykułowej, zajmującej połowę numeru, w której głos zabierają Jakub Berman, Roman Werfel, gen. Wł. Korczyc, W. Bylina, Z. Garbień, Jerzy Borejsza i J. Kowalski, następuje liczna grupa wypowiedzi uczonych polskich na temat rewolucji. Wypowiedzi tych jest 23, a na wstępie numeru poprzedzają je oświadczenia przedstawicieli partii: Wł. Gomułki-Wiesława, Józefa Cyrankiewicza, Antoniego Korzyckiego i Wincentego Rzymowskiego. Trzecia część numeru poświęcona jest „ekonomice zwycięskiego socjalizmu“, czwarta nauce, oświacie i kulturze, ostatnia zawiera studia o Feliksie Dzierżyńskim i Julianie Marchlewskim oraz noty biograficzne o innych Polakach biorących udział w rewolucji, którzy udział ten zapłacili życiem. Tych życiorysów jest razem 20. Z materiału literackiego na uwagę zasługuje szkic S. Moszyńskiego „O rosyjskiej literaturze radzieckiej trzydziestolecia“. Na tle nie wygasającej jeszcze u nas dyskusji o humaniźmie, którą ostatni zjazd literatów zdaje się podsycił na nowo, nie do pominięcia jest artykuł Romana Werfla „Państwo humanizmu socjalistycznego“ (O niektórych aspektach twórczego humanizmu).

Z periodyków literackich z numerami specjalnymi wystąpiły z tej okazji: „Odrodzenie“, „Kuźnica“, „Nowiny Literackie“ i po części „Twórczość“.

Z tych numerów do kategorii przypadkowo zestawionych można zaliczyć numery „Kuźnicy“ i „Odrodzenia“.

Obydwa te pisma dały wszystkiego po trochu: i historii, i problematyki polityczno-społecznej oraz kulturalnej, i literatury. I w jednym i w drugim piśmie literaturę reprezentuję przede wszystkim Ilja Erenburg i Włodzimierz Majakowski.

Numer *Kuźnicy* przynosi na wstępie pełną temperamentu i pasji polemikę Erenburga z „obrońcami kultury zachodniej przed bolszewizmem“ („Kultura jest niepodzielna“); następnie krótkie rozważania Stefana Jędrychowskiego o ekonomicznych podstawach siły Związku Radzieckiego, artykuł Stanisława Ehrlicha o pierwszej konstytucji Republiki Radzieckiej, artykuł Mieczysława Jastruna o Majakowskim i przekład wstępu do jego poematu „Pełnym głosem“ obok dwóch wierszy Tichonowa i Żarowa, dalej obszerny artykuł T. Daniszewskiego o Dzierżyńskim, wstęp Celiny Bobińskiej do książki „O prostym człowieku ZSRR“, omówienie zagadnień radzieckiej twórczości muzycznej (Zofia Lissa) oraz interesujące uwagi Jadwigi Siewierskiej o zainicjowanych w następstwie rewolucji procesach kulturowych i ich rezultatach.

Odrodzenie na pierwszej stronie daje relację autentyczną z przebiegu pierwszych dramatycznych dla rewolucji godzin, a w drugim artykule omawia stosunek rewolucji rosyjskiej do sprawy niepodległości Polski. Dalej czytamy ten sam artykuł Erenburga, co w *Kuźnicy*, wiersze Małgorzaty Aligier, fragment powieści Wiktora Niekrasowa „Stalingrad“, następnie Henryk Markiewicz omawia stosunek wybitnego a mało u nas znanego pisarza Mikołaja Leskowa (1851—1895) do Polski. Trzy kolumny zajmują wspomnienia Elsy Triolet o Majakowskim i jego wiersze. Poezję radziecką reprezentują jeszcze Aleksander Twardowski, Jakub Chelemski i Ludmiła Tatianiczewa. Część radziecką numeru uzupełniają krótkie i różnarodne uwagi Wł. Słobodnika, M. Kierczyńskiej, Krzysztofa Gruszczyńskiego, K. I. Gałczyńskiego a wiąże się z nią również artykuł Stanisława Wygodzkiego „Dlaczego jesteśmy patriotami“.

Nowiny literackie 12-stronicowy numer poświęciły całkowicie literaturze i sztuce radzieckiej. Stąd numer ten stanowi zwartą i celowo pomyślaną całość, która sprawia sympatyczne wrażenie przez przypomnienie przedwojennych pięknych numerów specjalnych „Wiadomości literackich“. Na czele numeru drukują *Nowiny* obszerny artykuł Jerzego Jędrzejewicza „Drogi literatury radzieckiej“. Jarosław Iwaszkiewicz pisze o organizacji Związku Pisarzy Radzieckich, Zofia Lissa o twórczości Dymitra Szostakowicza ze specjalnym uwzględnieniem jego VII symfonii, Włodzimierz Weber o teatrze Stanisławskiego, Siergiej Obrazcow o teatrze kukiełkowym i kreskówce, J. B. Rychliński o Aleksym Nowikow-Pribojowi i jego epoce. Z twórczości pisarzy radzieckich (potraktowanej dosyć skąpo) przynoszą *Nowiny* prozę Wiktora Szkłowskiego i Michała Zoszczenki, Maksyma Gorkija „Pieśń o zwiastunie burzy“, wiersze Majakowskiego i Mikołaja Asiejewa. Dopełnia treści artykuł J. Toeplitza o filmie radzieckim i spora garść recenzji. W sumie jest to ze wszystkich tygodnikowych numerów specjalnych poświęconych sprawom radzieckim chyba numer najlepszy. Tu *Nowiny* zakasowały swoich konkurentów.

Twórczość nie dała zeszytu specjalnego, ale przyniosła zwłaszcza dwie interesujące i cenne pozycje: autentyczną prozę morską Kirilenki „Szumią chłodne fale“ oraz szkic Aleksego Tołstoja „Ćwierć wieku literatury radzieckiej“. Za związane z aktualną rocznicą uznać należy również artykuły Kazimiery Grottowej „Muzeum historii i rekonstrukcji Moskwy“ oraz Czesława Zgorzelskiego „Mickiewicz w Rosji“. Omówienie innych pozycji ostatniego zeszytu tego miesięcznika warto zostawić do następnego przeglądu.

Taki jest odświętny plon naszej prasy literackiej z okazji rewolucyjnej rocznicy. Ogólnie odnosi się wrażenie, że odzwierciedla on wiernie nie tyle osiągnięcia ile braki naszej współpracy i wymiany kulturalnej ze Związkiem Radzieckim. Najpozytywniejszym faktem jest, że otrzymaliśmy przy tej okazji trzy cenne omówienia trzydziestolecia literatury radzieckiej, które przynoszą dobry materiał informacyjny i orientują w problematyce. (ki)

Tydzień spraw zachodnich

A. Polityka i gospodarka.

Czesław Pilichowski — o pogłębieniu czujności wobec odradzającego się imperializmu niemieckiego (Polska Zachodnia Nr 41).
* * * — Akcja uwłaszczeniowa na Ziemiach Odzyskanych (j. w.).
Józef Dubiel — Wielkie poczynania (o akcji uwłaszczeniowej) (Trybuna Wolności Nr 35).
Zygmunt Wojciechowski — Polityczne znaczenie Odry w czasach historycznych (Przegląd Zachodni Nr 9).
Stanisław Nienałkowski — Urealnić akt nadania (Osadnik na Ziem. Odz. Nr 16).
* * * — Osiągnięcia i zadania rzemiosła dolnośląskiego.

B. Nauka, kultura i sztuka.

Jan Baumgart — Stan Biblioteki Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. (Książka i Kultura Nr 10).
Marian Pelczer — 950-lecie Gdańska (Przegląd Zachodni Nr 9).
Walerian Wachnitt — Zachodnio-pomorskie problemy kulturalne (j. w.).
Ks. Antoni Lonrens — Trudności duszpasterstwa na Ziemiach Odzyskanych (Dziś i Jutro Nr 41).

C. Narodowościowe.

Stanisław Pieńkowski — Polska myśl polityczna na Mazurach (Polska Zachodnia Nr 41).
Stanisław Pieńkowski — Polacy z Niemiec na kongresach mniejszości narodowych (Przegląd Zachodni Nr 41).

D. Literatura i reportaż

Wanda Żółkiewska — Dwie książki o walce podziemnej (E. Szuster — Płonący krzak i J. Piórkowski — Niepodlegli) (Kuźnica Nr 41).
Eugeniusz Paukszta — Wokół malborskiego zamku (Polska Zachodnia Nr 41).
Stefania Onińska — Mówi 67-letni Warmiak (Związkowiec Nr 42).
Jadwiga Bernhardt — O wrocławskiej krzywej wieży i o dwu murarczykach (Gość Niedzielny Nr 41).
M. S. — Polono — Polonus (Duszniki-Zdrój) (Ogniwa Nr 41).
Józef Tyborowski — Dożynki w Opolu (Chłopi Nr 43).
Józef Sorbjan — Odzyskani ludzie na Odzyskanych Ziemiach (Osadnik na Z. Odz. Nr 16).

WOJNA I OKUPACJA

Tadeusz Żochowski — Lenino — wspomnienia i refleksje (Wiciowa wolna gromada, 20).
Jan Kołaczyński — O Zaginionych w czasie wojny (Chłopski Sztandar Nr 41).
Jerzy Piórkowski — Elektrownia walcząca (Młodzi idą Nr 42).
Jerzy Vogler — Czasy w miasteczku (Trybuna Tygodnia Nr 4).
J. F. — Po upadku Mokotowa (Tygodnik Warmiński Nr 41).
Wiktor E. Nowakowski — Szarża Suwalskiej Brygady Kawalerii (j. w.).
Zygmunt Lasocki — Ze wspomnień z czasów okupacji (Piast Nr 38).
Maria Turlejska — Walka w Pińczowskim (Tybuna Wolności Nr
St. M. Sawicka — Zbrodnia niemiecka nad dzieckiem polskim (Przegląd Zachodni Nr 9).
J. Pajewski — Z tajemnic ujawnionych w Norymberdze. (j. w.).
Eugeniusz Paukszta — Msza katakumbowa (Dziś i Jutro Nr 41).

SPRAWY NIEMIEC

Obserwator — Po konferencji partii socjalistycznych w Zurychu (Lewy Tor Nr 4).
Edmund Osmańczyk — Wice-król Niemiec (Przekrój Nr 131).
* * * — Repatriacja dzieci niemieckich z Polski (Chłopski Sztandar Nr 41).
Ludwik Kochański — Wallstreet — sojusznik Hitlera (Ogniwa Nr 41).
Andre Simone — Nowe wydanie Monachium (Trybuna Wolności Nr 35).
* * * — Kongres SED (j. w.)
Aleksander Rogalski — Obraz niemieckiego podziemia (Przegląd Zachodni Nr 9).
Andrzej Józef Kamiński — Kronika Niemiec współczesnych (od 1. 8. do 1. 9. br.) (j. w.).

INNE

Franciszek Godula — Apostoł Górnego Śląska (o ks. Ficku) (Gość Niedzielny Nr 41).
Jerzy Guranowski — Pamięci Ministra (o śp. Wł. Czajkowskim) (Osadnik na Z. Odz. Nr 16).

„Faust“ Gounoda

w Operze Śląskiej

Opera Śląska wystąpiła z dawno oczekiwaną premierą czołowego arcydzieła operowego Gounoda „*Faustem*“. O samym utworze operowym trudno nam mówić ze specjalnym uznaniem. Problematyka treści, strona dramatyczna i dźwiękowa większości oper stoi na mocno wątpliwym poziomie — nie grzeszy ani mądrością, ani logiką ani specjalną głębią. Nie przeszkadza to jednak, że przy umiejętnej pracy reżysera, artysty i dekoratora — całość może wypaść nader wspaniale. Tak, można śmiało powiedzieć, że „Faust“ był wyczynem wspaniałym — przede wszystkim ze względu na doskonałą oprawę sceniczną i balet. *St. Jarocki*, jako dekorator i projektodawca kostiumów uzyskał i tym razem doskonały smak i wykorzystał do maximum możliwości warunki sceny katowickiej. Widziałem przed kilku laty „Fausta“ na scenie Teatru Wielkiego w Warszawie. Przyznam się, że mimo ogromnej różnicy w możliwościach technicznych obu scen — katowicki spektakl nie ustępował warszawskiemu. „*Noc Walpurgii*“ skomponowana była świetnie — poszczególne numery odznaczały się odrębną charakterystyką i nieszablonowym ujęciem tańca programowego. *Stanisław Miszczyk*, jako baletmistrz i *Olga Glinkówna* nareszcie pokazali nam coś odmiennego od tego, czym karmią nas zazwyczaj szablonowe wstawki baletowe. Jeden zarzut postawić można Nocy, a mianowicie zbyt jednostajna koncepcja końcowych fragmentów poszczególnych numerów (wynoszenie tancerki). Co do premierowej obsady wokalnej — należy wyróżnić przede wszystkim *Antoniego Majaka* w roli Mefista, oraz jak zawsze doskonałego wokalnie *Andrzeja Hiolskiego* w roli Walentyna. Pierwszy z nich — nie tylko doskonały śpiewak ale i aktor dał postać skończoną i przekonywającą — u Hiolskiego podziwialiśmy przede wszystkim doskonałą dykcję i wielką kulturę głosu. *Krystyna Szczepańska*, jako Siebel dobra — ale partia dla niej nie leży zupełnie w głosie. Czarną plamą natomiast w całej obsadzie jest nieszczęśliwe obsadzenie *Jadwigi Lachetówny* w roli Małgorzaty i *Bohdana Paprockiego* w roli Fausta. Trochę komicznie wygląda Faust w zestawieniu z kochanką serca, przewyższającą go przynajmniej o półtora głowy. Poza tym Paprocki stworzył postać doktora tak nie przekonywająco, że trudno sobie wyobrazić tę, bądź co bądź ciekawą indywidualność w tak niedramatycznym ujęciu.

Resumując — premiera dobra, a drobne usterki nie psują całości.

Ryszard Bukowski

Tydzień Katowic

17. 11. — 23 111. 1947

ODCZYTY:

17\. 11. W ramach poniedziałkowych imprez Klubu Literackiego odbył się w sali Instytutu Śląskiego wieczór autorski Antoniego Gołubiewa.

19\. 11. Staraniem Sekcji Kultury i Oświaty SOLK wygłosił w sali Instytutu Śląskiego prof. Szuman prelekcję „O urodzie“ Współudział wzięli artyści Teatru im. Wyspiańskiego, Halina Cieszkowa i Roman Hierowski.

21\. 11. W sali Inst. Śląskiego wygłosił Dr St. Kasztelowicz odczyt na publicznym zebraniu Komisji Nauk Filozoficz. Tow. Przyj. Nauk pt. „Dzieło literackie w świetle idealizmu i materializmu“.

22\. 11. Na zaproszenie Woj. Rady Kultury wygłosił Stanisław Teisseyere w sali Instytutu Śląskiego odczyt p. t. „Współczesne kierunki malarstwa“.

KONCERTY:

19\. 11. Staraniem Polskiego Radia w Katowicach odbył się w Domu Kultury koncert bułgarskiego zespołu wokalno-instrumentalnego „Rosna Kitka“ z Sofii.

21\. 11. W sali Filharmonii wystąpił dyrygent radziecki, Konstanty Iwanow. Orkiestra Polskiego Radia wykonała pod batutą Iwanowa „VII symfonię Leningradzką“ Dymitra Szostakiewicza.

23\. 11. W kościele „Zmartwychwstania“ odbył się koncert muzyki kościelnej. W programie utwory organowe, skrzypcowe i wokalne.

TEATR:

22\. 11. Na Małej Scenie teatru im. Wyspiańskiego wystawiono „Śluby Panieńskie“ Al. Fredry w opracowaniu reżyserskim i inscenizacyjnym W. Biegańskiego.

Krótkie spięcia

Sprawy widokówkowe

Ziemie Odzyskane w początkowym okresie miały rozmaite bolączki, jedne mniejsze, drugie większe. Do tych mniejszych, ale niewątpliwie dosyć dotkliwych, należały — pocztówki. Była to w pewnym sensie plaga. Bo człowiek, przyjeżdżający do takiej czy innej miejscowości na Zachodzie na wczasy i nie na wczasy i chcący stamtąd wysłać widokówkę, był zawsze w rozpaczy. Dostawał bowiem w każdym sklepie tylko „mienie poniemieckie“ w postaci widoczku z jakiegoś Badu albo innego Hirschberga, często gęsto jeszcze ze swastykami na „fanach“, widniejących na danym zdjęciu.

Trzeba więc było albo rezygnować z kupna i wysyłki, albo też skrupulatnie wykreślać na pocztówce wszystkie napisy niemieckie.

Stan ten przez jakiś czas wyglądał na beznadziejny, ale na szczęście — co trzeba z uznaniem podkreślić — zmienia się obecnie wybitnie na lepszy. W rozmaitych miastach powydawano dzięki inicjatywie ludzi dobrej woli polskie serie widokówkowe, już to fotograficzne, już to rysunkowe.

W pierwszym zatem rzędzie należy wymienić Opole, gdzie jedna z księgarń wydała dwie serie, jedną poświęconą Opolu i okolicom, drugą zaś Głuchołazom, dalej Jelenią Górę, gdzie miejscowe Stronnictwo Demokratyczne wypuściło w świat serię kolorową okolic Karkonoszy (Karpacz, Szklarska Poręba, pasmo Śnieżki) oraz samej Jeleniej Góry, i wreszcie Świdnicę, gdzie znowu w serii rysunkowej Spółdzielnia Wydawnicza „Wałbrzych“ pokazała z wdziękiem starą architekturę tego miasta (tzn. Świdnicy, nie Wałbrzycha).

Bez wątpienia za tymi tak mimochodem wymienionymi przykładami pójdą, a może już i poszły — inne miasta, na wszelki jednak wypadek trzeba tutaj jak najkategoryczniej zastrzec się przeciwko rozmaitym oszukańczym machinacjom tu i ówdzie praktykowanym. Machinacje te polegają na tym, że anonimowi spryciarze biorą widokówkę niemiecką, zamazują na niej napis niemiecki, a nadrukowują napis polski. Tymczasem na takiej pocztówce wszystko pozostaje niemieckie.

Na przykład mamy przed sobą taką widokówkę z Zabrza. U dołu napis niemiecki zamazany, u góry zaś nadruk polski: „Zabrze, Plac 24 Stycznia“. A tu na wszystkich sklepach, które widać wokół owego placu, czytamy: „Kaffee-Grossrösterei“, „Schuhe“, „Eisen-Maschinen“ i tak dalej i dalej, a wreszcie natrafiamy na olbrzymi szyld: „N. S. D. A. P.“

I to ma być Plac 24 Stycznia w Zabrzu . . .? Ładne kwiatki . . .!

Z takim więc oszustwem widokówkowym trzeba raz nareszcie skończyć, tak jak zresztą w ogóle z widokówkami niemieckimi, co się już samo przez się rozumie.

A natomiast należy zabrać się naprawdę całą parą do masowego wydawania naszych polskich widokówek z Ziem Odzyskanych.

Niejaki X.

Praprzemiera w Bielsku

»Dziki książę«

Kazimierza Gołby



Scena z II aktu.

Dzisiaj dyrektorzy teatrów boją się na ogół prapremier. Boją się ryzyka. Boją się także często — czego się boją? — po prostu wysiłku. Wolą iść po linii najmniejszego oporu i dawać rzeczy stare, reżyserowane według starych, wypróbowanych koncepcji. Nie różnią się pod tym względem zbytnio od kucharek czy gospodyń, dla których zeszłowieczna książka kucharska stanowi jedyną podstawę ich sztuki kulinarnej. Książka taka tym praktyczniejsze znajduje w ich zawodzie zastosowanie, że jej wcale nie muszą używać, bo znają ją na pamięć. Bywają dyrektorzy, którym dane jest poza tym wszystkim korzystać jeszcze z wygód specjalnych. W każdym sezonie mają szczęście patronować innemu teatrowi, przez co zyskują jeszcze możliwość powtarzania tych samych repertuarów.

Dyrektorowi Kwaskowskiemu, który od chwili otwarcia po wojnie teatrów w Bielsku i Cieszynie naprawdę chlubnie spisuje się na zajmowanym przez siebie stanowisku, zarzutów tego rodzaju stawiać nie można. Można natomiast wysunąć pod jego adresem życzenie częstszego wystawiania prapremier. Ostrożność jest potrzebna, ale i ryzyko przyda się czasami. Sztuka Gołby weszła na deski Teatru Bielsko-Cieszyńskiego jako pierwsza prapremiera w dotychczasowym repertuarze powojennym tamtejszego ośrodka, choć to już przecie trzeci sezon . . . Życzymy z całego serca powodzenia tej ciekawej sztuce polskiego autora, powodzenia, na które zresztą w pełni zasługuje. Ta życzliwość wypływa przy tym jeszcze z wiary, że zasłużony dyrektor, zachęcony powodzeniem tego dlań w pewnym sensie „eksperymentalnego“ widowiska, zacznie częściej wystawiać dobre sztuki współczesnych polskich autorów dramatycznych.

Komedia Gołby posiada tło historyczne. Afisz skwapliwie pomija to określenie. Co robić, ludzie historii nie lubią. Trzeba niekiedy używać tricków, by móc skutecznie walczyć z uprzedzeniami. Akcja dzieje się — jak sam autor dokładnie w programie podaje — w roku 1249, a więc w czasie, gdy dokonany przez Bolesława Krzywoustego podział Polski na księstwa trwał i w opłakane w skutkach obfitował wydarzenia. Bohaterem „Dzikiego księcia“ jest Bolesław Łysy, zwany Rogatką, nieodpowiedzialny hulaka, którego wyczyny pijacko-miłosne posłużyły autorowi jako motyw komediowy. Tło, na którym rozgrywa się akcja komediowa sztuki, jest ponure, zaważyło też mocno na jej atmosferze i przydało jej akcentów satyrycznych, a nawet tragicznych. Nie jest to więc komedia, na którą patrząc trzeba się koniecznie i bez ustanku śmiać, nie jest to sztuka typu beztroskich fars, ale jest to komedia, która poprzez uśmiech uczy i wychowuje. Weźmy np. pod uwagę typy Niemców, ukazane przez Gołbę w sposób, który uproszczenie tak znakomicie łączy z nagą, rubaszną prawdą. Spójrzmy na zaprzedającego się im „dzikiego księcia“. Ileż aluzji współczesnych, ile odnośników do wydarzeń okresu okupacji kryją w sobie głoszone ze sceny prawdy, wypowiadane słowa i rozwijane ze zdań i faktów sytuacje. A sytuacje te świadczą o niebylejakim wyczuciu sceny u tego wybitnego śląskiego dramaturga.

Nie pierwszy raz jednak daje się u niego zauważyć pewien kompleks, wynikający z niemożności pogodzenia czasem logiki sceny z prawdą historyczną. Wszędzie tam, gdzie (jakąkolwiek sztukę Gołby wziąć pod uwagę) zaznacza się konflikt między tymi dwoma logikami, zawsze zwycięża u niego logika prawdy historycznej, choćby ze szkodą dla sztuki. Gołba nie ucieknie się do żadnego naciągania faktów, choć czasem należałoby. Wydaje mi się, że wynikiem wspomnianego kompleksu jest w omawianej komedii jej zakończenie. Zakończenie sztuki powinno być i przeważnie jest czymś w rodzaju klamry. Klamra zaś taka czy broszka, domaga się, aby przynajmniej błyszczała, aby sprawiała przyjemność patrzącemu na nią. Zakończenie sztuki Gołby nie zostawia przyjemnego wrażenia. Wydźwięk końcowy budzi w nas uczucie jakiegoś niezadowolenia, że tak się właśnie stało. Chcielibyśmy inaczej. Tym bardziej, że jest to przecież mimo wszystko komedia. Myślę, że można było jakoś tego wydźwięku uniknąć. Albo sztukę wcześniej zakończyć, albo dodać jakiś epizod pogodniejszy, wysuwający może którąś z postaci pozytywnych na plan pierwszy, a nie koniecznie „dzikiego księcia“.

Nie chciałbym, aby z powodu tego jednego, końcowego zastrzeżenia ucierpieć miała moja rzeczywista opinia o sztuce. Dlatego jeszcze raz podkreślam jej wybitne walory sceniczne i wychowawcze.

Jeżeli chodzi o odtwórców poszczególnych ról, to prawie wszyscy dopisali. **P. Malatyński** jako Rogatka był we wszystkich swych zagraniach bez zarzutu. **P. Śnieżowska** jako Miła, **p. Kochańska** jako Bogna, i **p. Starzycka** jako dziewka służebna, każda w swoim typie, dały postaci udane w każdym calu. **P. Nowak** jako Zwinieslaw ze Świebodzic dobry, p. **Ławski** jako rybałt książęcy zabawny i „lekki“, p. **Wanda Chloupek** jako pachołek - „pacholęca“. **P. Cirin** w prawie mimicznej roli Godfryda z Turyngii — kapitalny. P. **Jarszewski** w roli biskupa wrocławskiego może za spokojny, powinien był być raczej „grzmiący“. P. **Kosmalewski** w napół statystycznej roli księcia Henryka co prawda poprawny, ale dość bezbarwny.

Reżyseria **Stanisława Kwaskowskiego** wydobyła ze sztuki wszystkie jej walory, nadała jej żywe tempo i właściwy styl. Dekoracje p. **Krassowskiego** nie budziły zastrzeżeń i dawały sztuce właściwą oprawę. Również kostiumy p. **Macury** zadawalały.

Wiktor Stanisławski

Korespondencja

Recenzja nad recenzją

W nr 39 (96) „Odry“ ukazała się pod tytułem: „O prawdziwą historię Opola“ recenzja dwu książek: Władysława Grabskiego „200 miast wraca do Polski“ i Stanisława Makosza „Dzieje miasta Opola“. Autor recenzji, wsparłszy się o autorytet książki Hausdorfera „Die Piasten Schlesiens“ (nawiasem powiedziawszy jednemu z autorów wytknął opieranie się na niemieckich dziełach) wytyka obu autorom cały szereg błędów, ocenia autorytatywnie, z dużą pewnością siebie, obie książki, trochę chwali, trochę gani.

Niestety poprawki autora recenzji roją się od błędów. Są wśród nich drobne, ale są i zasadnicze, których by autor uniknął, gdyby zechciał zapoznać się choćby z Historią Śląska K. Piwarskiego (wyd. Instytutu Śląskiego 1947).

Oto dla przykładu kilka błędnych poprawek — najpierw tych drobniejszych. Autor recenzji poucza, że Opole dostało się księciu Jarosławowi w roku 1179. Tymczasem fakt ten nie został dotychczas w nauce dokładnie chronologicznie ustalony (w wydanej w r. 1933 przez Polską Akademię Umiejętności w Krakowie Historii Śląska, t. I przyjęta jest data 1197/8 względnie 1177). Skąd autor wziął datę 1179? Prawdopodobnie tak napisał Hausdorfer. Autor recenzji poprawia Grabskiego, że Kazimierz opolski nie zmarł w roku 1236, ale w roku 1229, względnie 1230. W rzeczywistości zaś zmarł w r. 1229. Księstwem opolsko-raciborskim — wbrew twierdzeniom autora recenzji — nie rządziła księżniczka wdowa Wiola aż do roku 1238, (przy pomocy Henryka Brodatego), ale od samego bodaj początku rządził nim (przez pewien czas wspólnie z ks. Wiolą) Henryk Brodaty, a ks. Mieszko nie od roku 1238 ale od 1239. Wraz z nim rządził brat jego Władysław. Poprawiając znowu Grabskiego autor recenzje pisze, że Bolko II opolski dostał się do niewoli kujawskiej w roku 1289. Był to tymczasem oczywiście Bolko I, a nie II. Poprawiając dalej Grabskiego autor recenzji pisze, żeż Władysław Opolczyk miał trzy córki — w rzeczywistości miał ich cztery: Katarzynę, Elżbietę, Agnieszkę i nieznaną z imienia klaryskę w klasztorze starobudzińskim.

Przytoczone tu przykłady dotyczą spraw bardzo szczegółowych, niejednokrotnie jeszcze nienależycie ustalonych w nauce. Znajomość ich obowiązuje jednak tego, kto zabiera się do poprawiania cudzych błędów.

Co gorsza jednak, autor recenzji popełnił w swych poprawkach błędy w sprawach zasadniczych. A więc synowie Władysława Wygnańca odzyskali Śląsk w roku 1163 a nie 1162! Autor recenzji, polemizując z St. Makoszem, kwestionuje przyjęcie daty 1327 jako przełomowej dla dziejów Opolszczyzny, argumentując swe twierdzenie w sposób zupełnie nie przekonujący i niezupełnie prawdziwy. Rok 1327 oznacza bardzo istotną zmianę w dziejach tego księstwa, bo zmianę przynależności państwowej, ustalając mimo różnych takich czy innych prób czy sympatii książąt śląskich na kilkaset lat polityczne oderwanie Opola od Polski. Oczywiście, że fakt ten nie przerwał związków kulturalnych i częściowo gospodarczych łączących Śląsk z Polską, ale przeprowadzenie podziału według tych kryteriów nie wydaje się w ogóle możliwe.

Zupełnym też nieporozumieniem jest proponowany przez autora recenzji podział dziejów Opolszczyzny. Niestety projekt ten nie nadaje się do dyskusji, jak by sobie tego życzył jego autor, gdyż jest niezgodny tak z prawdą historyczną jak i z formalnymi zasadami przeprowadzania podziałów. Okres I, gdy Opole połączone było ze Śląskiem, oddziela autor od okresu II, rządów Piastów na Opolszczyźnie datą 1179, a więc datą zupełnie niepewną, nie ustaloną (jak o tym mowa była powyżej), najprawdopodobniej fałszywą. Okres III (1532—1740) charakteryzuje autor recenzji jako: pośrednie wpływy Polski na Opolszczyźnie. Absolutnie niezrozumiałe! Jeżeli bowiem chodziłoby tu o rządy kilku członków królewskich polskich w niektórych księstwach śląskich, to były to tylko oderwane, krótkie okresy czasu. Jeżeli zaś projektodawca ma na myśli wpływy kulturalne, to oczywiście nie można ich zamykać w tych właśnie latach. Miały one bowiem miejsce tak przed tym okresem jak i po nim. Propozycje co do IV i V okres unasuwają wątpliwości przede wszystkim z punktu widzenia formalnej poprawności podziału.

Przytoczone tu przykłady pozwalają wysunąć pod adresem autora recenzji zasadniczy postulat. Jeżeli chce się pisać poważną recenzję, jeżeli chce się poprawiać cudze błędy, trzeba bezwzględnie doskonale orientować się w danej dziedzinie z uwzględnieniem dorobku naukowego do dni ostatnich. W zakresie dziejów Śląska (średniowiecze) zawiera go w pierwszym rzędzie Historia Śląska t. I i III, Polskiej Akademii Umiejętności. Jakże autor recenzji mógł tego właśnie dzieła nie uwzględnić, ale wolał oprzeć się na dziele niemieckiego autora, które wziął za pracę pewną i źródłową, w której znalazł „dotychczas tylko kilka drobnych pomyłek“ (ciekawe, z czym je porównywał!)

Z dużą przykrością trzeba było napisać powyższe uwagi. Bowiem godnymi wszelkich pochwał są dobre chęci, zamiłowania historyczne i zainteresowanie dla przeszłości ziemi śląskiej, jakie wykazuje autor recenzji.

Ale to jednak absolutnie nie wystarcza. (zk)

Ziemia bez Boga

Oto dwa grube tomy historii małego miasta, zagubionego w mrokach okupacji. Tytuł: „Ziemia bez Boga“, autor Koppel Holzman a książka to fragment tragedii żydowskiej. Nie odważyłbym się nigdy opisać tych wypadków po literacku. Pamiętam np. dym spalonych trupów żydowskich. Mieszkałem o conajmniej pięć kilometrów w linii powietrznej od miejsca, gdzie nocami rozlewała się po niebie łuna sinawego koloru a odór dymu wciskał się do mieszkania mimo szczelnie zasłoniętych, zaklejonych i zamkniętych okien i drzwi. Zbyt olbrzymi jest wymiar nieszczęścia żydowskiego, aby mogło znaleźć się pióro dla jego opisania. A jednak ludzie pisali. Pisali w nieprawdopodobnych warunkach, w ł chach, na strychach, w lasach a nawet właśnie tam wśród palących się trupów. Miałem w ręce rękopis Weliczkera. Tego samego, który jako jedyny ocalał z tzw. „brygady śmierci“, która paliła trupy na paskach łyczakowskich i mieliła w maszynach kości ludzkie. Był jeden taki, który to wszystko opisał wierszem. Wszyscy oni żyli nadzieją, że kiedyś po ocaleniu ogłoszą światu o tych strasznych faktach. Ci ludzie jakby przeczuwali, że to wszystko wyda się nieprawdopodobne i nikt nie uwierzy. Sam widziałem na własne oczy, jak w południe na głównej ulicy policjant ukraiński zastrzelił Żyda. Miał pistolet małego kalibru i nie mógł tego człowieka jakoś zabić. Wyładował cały magazynek na oczach przechodniów. Sam widziałem, jak za śpiewającą dziewczynką gonił Niemiec, dobroduszny pan z brzuszkiem i cygarem. Wydzierała mu się z wszystkich sił. Dobroduszny pan zasapał się, ale jakoś oddał dziecko gestapowcowi, który chciał je odnieść do samochodu. Dziecko zaczęło krzyczeć, gryźć, kopać i żołdak nie mógł sobie z nim dać rady. Wyjął więc pistolet, zastrzelił dziecko a trupa wrzucił pomiędzy żywe dzieci. Ten dobroduszny pan zażywa dziś może szacunek wśród swoich i obcych w Vaterlandzie, bo on przecież nie miał nawet w klapie odznaki NSDAP. Poczciwi ci Niemcy.

Holzman opisał dzieje pierwszych akcji niemieckich w Borysławiu. Distrikt Galizien był właśnie takim „krajem bez Boga“, gdzie w małych miasteczkach działy się rzeczy nie do opisania i nie do uwierzenia.

Autor opisał jedno miasto, kilka uliczek i zdarzenia jednego roku. W dwóch grubych tomach chciał zmieścić mikroskopijny odcinek olbrzymiej tragedii swojego narodu. Holzman nie jest literatem ale chciał ludziom umożliwić przeczytanie swojej książki. Zaczął od powieści, ale te sprawy nie mieszczą się w żadnym wymiarze a tym bardziej powieściowym. Dlatego widać, jak w miarę pisania, sama treść rozsadza książkę, jak olbrzymieje. Książka z powieści zamienia się w jeden krzyk protestu i właściwie nie kończy się. W dygresyjnym zakończeniu autor przyznaje się, że niema sił do dalszego pisania. Niema jej, bo tragedia żydowska wcale się nie skończyła. Płyną okręty — widma do brzegów Palestyny a ludzie nie mogą odnaleźć ojczyzny i miejsca na ziemi.

Jan Brzoza

Nowości wydawnicze »CZYTELNIKA«

PODRĘCZNIK DLA GIMNAZJÓW OGÓLNOKSZTAŁCĄCYCH I ZAWODOWYCH

DĄBROWSKA J.
PETRUSEWICZOWA E.
GEOGRAFIA
gospodarcza Europy i wybranych państw pozaeuropejskich
Stron 278
Zł 330

BIBLIOTECZKA NAUKOWA MŁODEGO CZYTELNIKA

DYAKOWSKI B.
NASZE ZBOŻA
Opowiadania przyrodniczo-obyczajowe. Ryciny Dyakowskiej J.
Stron 77
Zł 120

DWA WIEKI POEZJI ROSYJSKIEJ
ANTOLOGIA
Ułożyli i opracowali JASTRUN M., POLLAK S.
(z 24 portretami)
Stron 487
Zł 900

SZOŁOCHOW M.
CICHY DON
Tłum. Rogowicz W., Stawar A.
Tom II
Cz. I, Stron 224
Zł 380
Cz. II, Stron 253
Zł 430

ILJIN M.
JAK SAMOCHÓD UCZYŁ SIĘ CHODZIĆ
Tłum. Gulbińska St.
Stron 21
Zł 50

MANUGIEWICZ R.
WIELKI SZTORM
Stron 236
Zł 450

GORKI M.
DZIECIŃSTWO
Tłum. Bilska K.
Stron 206
Zł 280

WINDAKIEWICZ ST.
JAN KOCHANOWSKI
Wyd. 2
Stron 202
Zł 380

Do nabycia we wszystkich księgarniach